



John Fante

# Pełnia życia

*To, co Fante pisze i robi, jest takie samo  
– mocne, dobre i ciepłe.*

Charles Bukowski

Seria  
**KULT**  
owa

John, młody pisarz amerykański włoskiego pochodzenia, mieszka wraz z żoną Joyce w Los Angeles. Wkrótce urodzi się ich pierwsze dziecko. Przyszła matka ma chwiejne nastroje, robi się też bardzo religijna. Na dodatek okazuje się, że niedawno kupiony wymarzony dom wymaga natychmiastowego remontu. Trudną sytuację emocjonalną Johna pogarszają skomplikowane stosunki z ojcem, byłym murarzem. Nick to uparty, ale i kochający tata, który z zadziornością wypowiada szczere do bólu opinie o swojej rodzinie. W nerwowym oczekiwaniu na wnuka wprowadza chaos w życie Johna.

„Pełnia życia” Johna Fante’go to pięknie napisana, poruszająca powieść. Jej bohaterowie to włoscy imigranci, postacie z krwi i kości – otwarci, uczuciowi, żywiołowi. Autor w sposób naturalny i pogodny ukazuje sens posiadania rodziny.

John Fante jest jednym z najwybitniejszych twórców amerykańskich, autorem m.in. „Bractwa winnego grona”, „Pyłu” oraz cyklu opowieści o Bandinim. Jego dzieła, uznane i przez krytyków, i czytelników, w dużej mierze opierają się na faktach autobiograficznych. Fante jest często postrzegany jako outsider i pisarz kultowy. Jego proza miała znaczący wpływ na twórczość Charlesa Bukowskiego.



Patroni medialni:



ISBN 978-83-60376-77-5



9 788360 376775 >

cena 24,90 zł



JOHN FANTE

# PEŁNIA ŻYCIA

Przełożyła  
Magdalena Koziej



# 1

DOM BYŁ SPORY, bo mieliśmy mnóstwo planów. Pierwszy z nich został już zrealizowany, wzgórek na wysokości jej talii, to coś o niemrawych ruchach, pełzające i wijące się jak kula z węży. W cichych godzinach przed północą leżałem z uchem przyłożonym do tego miejsca i słyszałem coś jakby szemranie strumyka, bulgotanie, ssanie i pluskanie.

- Niewątpliwie zachowuje się jak przedstawiciel męskiego rodu - zawyrokowałem.

- Niekoniecznie.

- Dziewczynki aż tak nie kopią.

Ale ona się ze mną nie spierała, ta moja Joyce. Miała to coś w środku i była wyniosła, pogardliwa i nieomal beatyfikowana.

Jednak brzuszysko mi się nie podobało.

- Jest nieestetyczne - wyjaśniłem i zasugerowałem, by nosiła coś, w co da się je zapakować.

- I zabić?

- Robią na to specjalne rzeczy. Sam widziałem.

Spojrzała na mnie chłodno - na ignorantę, głupca, który przechodzi obok wieczorem, już nie na osobę, lecz przynoszący zgubę przedmiot, niedorzeczność.

W domu znajdowały się cztery sypialnie. To był ładny dom. Otaczał go płot ze sztachetek. Miał wysoki spiczasty dach. Od ulicy aż pod frontowe drzwi prowadził korytarz utworzony z krzewów różanych. Nad wejściem wznosił się szeroki łuk z terakoty. Na drzwiach tkwiła ciężka mosiężna kołatka. Na domu umieszczono numer 37, a to była moja szczęśliwa liczba. Czasami przechodziłem na drugą stronę ulicy i gapiłem się na to wszystko z rozdziawioną gębą.

Mój dom! Cztery sypialnie. Przestrzeń. Teraz mieszkaliśmy tu we dwójkę, a jedno było w drodze. Ostatecznie będzie siódemka. Takie miałem marzenie. Trzydziestoletni mężczyzna zdąży wychować siedmioro dzieci. Joyce miała dwadzieścia cztery lata. A więc jedno co drugi rok. Jedno w drodze, zostaje jeszcze szóstka. Świat jest taki piękny! Niebo takie ogromne! Marzyciel taki bogaty! Oczywiście będziemy musieli dodać jakiś pokój albo dwa.

- Masz jakieś zachcianki? Upodobanie do jakiegoś smaku? Rozumiem, że to się zdarza. Czytałem o tym.

- Oczywiście, że nie.

Ona też czytała: Gesell Arnold *Infant and Child in the Culture of Today*.

- Jakie to jest?

- Bardzo pouczające.

Wyjrzała przez drzwi balkonowe na ulicę.

Była to ruchliwa okolica, tuż obok Wilshire, gdzie warczały autobusy, a odgłosy uliczne przypominały muczenie by-

dła, jednostajny ryk czasami rozdarty przez wycie syren, lecz oddalony, odległy o dwieście stóp od nas.

- Może sprawimy sobie nowe zasłony? Czy musimy mieć żółte z zielonymi lambrekinami?

- Lambrekinami? A cóż to takiego, matko?

- Na litość boską, nie nazywaj mnie tak.

- Przepraszam.

Wróciła do Gesella Arnolda *Infant and Child in the Culture of Today*. W ciąży bardzo wygodnie się jej czytało. Wzgórek stanowił znakomitą podpórkę do książek, mogła je trzymać na wysokości podbródka, łatwo przewracało się wtedy strony. Joyce była bardzo ładna, o niezwykle błyszczących szarych oczach. Teraz w tych oczach pojawiło się coś nowego. Nieustrasżoność. To było zdumiewające. Odwracało się wzrok. Spojrzałem na okna i domyśliłem się, co to są lambrekiny, bo tylko ta rzecz była tam zielona, taka spódniczka na górze, pomarszczona.

- Jakie chcesz lambrekiny, kotku?

- Nie nazywaj mnie kotkiem. Nie lubię tego.

Zostawiłem ją tam, gdzie siedziała, jej szare oczy rozświetliła groźba, usta zaciskały się wokół cygarniczki, długie białe palce trzymały kurczowo Gesella. Wyszedłem na podwórze, przed dom, stałem wśród róż i napawałem się swoim domem. Nagrody płynące z pisania. Ja, autor, John Fante, twórca trzech książek. Pierwszej sprzedano 2300 egzemplarzy. Drugiej 4800. Trzeciej 2100. Ale w przemyśle filmowym nie wymagają oświadczeń dotyczących tantiem. Jeśli akurat masz to, czego chcą, płacą od razu, i to dobrze. Teraz właśnie miałem to, czego chcieli, i w każdy czwartek przychodził suty czek.

Zjawił się pewien pan w sprawie lambrekinów. Był pe-  
dzim o przezroczystrych paznokciach, miał szalik w turecki  
wzorek pod prochowcem ściśniętym paskiem. Wykręcał swo-  
je szczupłe palce, a pomiędzy nim i Joyce zrodziła się bli-  
skość, której nie mogłem dzielić. Śmiali się i paplali przy ka-  
wie i ciasteczkach, a ona była zachwycona towarzystwem  
tego koguta bez ostróg. Wzdrygnął się na widok zielonych  
lambrekinów, wydał z siebie triumfalny pisk, zrywając je, po-  
czym zastąpił niebieskimi. Sprowadził ciężarówkę i wywie-  
ziono meble, na których należało zmienić obicia, by pasowa-  
ły do lambrekinów.

Niebieski działał na Joyce kojąco. Teraz była bardzo szczęś-  
liwa. Zaczęła myć okna. Woskowała podłogi. Nie lubiła pralki,  
więc prała ręcznie. Dwa razy w tygodniu ktoś przychodził wy-  
konywać cięższe prace, ale Joyce zwolniła tę kobietę.

- Zrobię to sama. Nie potrzebuję pomocy.

Strasznie się zmęczyła, mając tyle pracy. Na stosiku leża-  
ło dziesięć koszul, starannie wyprasowanych. Na jej kciuku  
widniał czerwony ślad po oparzeniu. Włosy wisały jej w strą-  
kach, była mizerna i rzeczywiście bardzo zmęczona. Ale  
brzuch był twardy, na swoim miejscu i wcale, a wcale nie  
zmęczony.

- Dłużej już nie dam rady - jęknęła. - Ten wielki dom  
i w ogóle.

- Ale dlaczego to robisz? Przecież wiesz, że nie musisz.

- Lubisz mieszkać w brudzie?

- Wezwij kogoś. Teraz nas stać.

Ach, nie znosiła mnie, zacisnęła zęby, dzielnie odgarnęła  
do tyłu opadające włosy. Wzięła ściereczkę do kurzu i chwiej-

nym krokiem udała się do jadalni, gdzie zaczęła polerować stół długimi, rozpaczliwymi pociągnięciami, całkowicie wytęściana, wsparta na łokciach, ledwie zapiąc.

- Pomogę ci.

- Nie dotykaj mnie. Ani mi się waź!

Opadła na krzesło, jej włosy zwisały smętnie, oparzenie na palcu bolało, lecz stanowiło odznakę szlachetności, jej znużone błyszczące szare oczy spozierały groźnie, ścierka do kurzu tkwiła luźno w jej ręce, na ustach błąkał się smutny uśmiech, wszystko to wyrażało tęsknotę, informowało mnie, że przebywa myślą w szczęśliwszych czasach, prawdopodobnie w San Francisco latem 1940 roku, kiedy to jej ciało było szczupłe, kiedy nie musiała wykańczać sobie kręgosłupa uciążliwymi pracami domowymi, kiedy to była wolna i niezamężna, wspinała się na Telegraph Hill ze sztalugą i farbami, pisała tragiczne sonety miłosne, patrząc na Golden Gate.

- Powinnaś mieć służącą przez cały dzień.

Bo to były tłuste, zmysłowe dni dla pisarzyni, a stosik pieniędzy rósł co czwartek, mój agent, dowcipny i koleżeński, odcinał swoją dolę z czeku od Paramountu, tak samo jak rząd. Ale i tak dla wszystkich starczało.

- Idź na zakupy, kochanie. Kup sobie coś.

Boże dopomóż. Zapomniałem o brzuszysku i na próżno usiłowałem wessać słowa z powrotem. Ale ona nie zapomniała i musiałem udawać, że nie patrzę, gdy zsuwała się po schodach, żona - biały balon, powstrzymując beknięcia i przemierzając dom jak więzień.

Powiedziała: - Przestań się gapić.



Powiedziała: - Przypuszczam, że całymi dniami patrzysz na szczupłe aktorki.

Powiedziała: - O czym myślisz?

Powiedziała: - Nigdy więcej. To jest pierwsze i ostatnie.

A czasami podnosiłem wzrok i widziałem, że patrzy na mnie, kręcąc głową.

- O Boże, czemuż ja za ciebie wysłałam?

Milczałem, uśmiechając się głupkowato, bo ja też nie wiedziałem dlaczego, ale byłem bardzo zadowolony i dumny, że to zrobiła.

\*\*

Szał porządków domowych minął i znów najeliśmy gospość. Teraz Joyce zainteresowała się ogrodnictwem. Kupiła książki i narzędzia. Pewnego dnia po powrocie do domu znalazłem w garażu dziesięć worków nawozu wolego. Usunęła korytarz z róż, dwanaście krzewów, sześć po każdej stronie ścieżki, dobrała się do nich z łopatą, wydłubała je z ziemi i zawlokła na tylne podwórze. Korzenie wykarczowała siekierą. Wkładała rękawice i całymi dniami pełzała pod żywopłotem, wtykając w ziemię cebulki, obsypując je nawozem i torfowcem, na kolanach miała ciemnoczerwone odciski, ręce podrapane. Jej pasją stało się teraz utrzymywanie porządku na swoim terenie. Codziennie robiła inspekcję, nawet w przejściu między domami, obchodząc posiadłość z jutowym workiem, do którego wrzucała jakieś odpadki. Zaczęła też z upodobaniem palić wszystko, co nie było przymocowane gwoździami - ścinki z żywopłotu, liście, kawałki drewna. Wykopała na podwórzu za domem dół na kompost i wrzuca-

ła tam skoszoną trawę, którą mieszała z nawozem, podlewała, a potem od czasu do czasu przerzucała widłami.

Przy takich właśnie zajęciach ją zastawałem, gdy późnym popołudniem wjeżdżałem do garażu. Stała przy spalarni, osamotniona postać w białej chustce na głowie, wrzucała różne rzeczy do ognia, obok piętrzył się stos kartonowych pudełek przygotowanych do spalenia, a Joyce wpatrywała się w płomień, czasem gmerła w nich kijkiem. Miała hyścia na punkcie porządku wokół spalarni, starannie wtykała puste puszki jedna w drugą, miała na te puszki specjalne pudełka, tak samo jak na puste butelki. Codziennie pakowała wszystkie śmieci w zgrabne paczki, które owijała gazetą i obwiązywała sznurkiem.

Nocą słyszałem, jak telepie się po domu, trzaska drzwiami lodówki, spuszcza wodę w sedesie, włącza radio na dole, łązi po podwórku. Patrzyłem przez okno, jak snuje się w świetle księżycy, brzuchata zjawa we frotowym szlafroku, okrągła wypukłość poruszała się przed nią z majestatyczną pewnością siebie, zwykle miała książkę pod pachą, przeważnie Gesella Arnolda *Infant and Child in the Culture of Today*.

- Nie możesz już ze mną więcej sypiać - oświadczyła. - Już nigdy.

- Nawet po jego urodzeniu?
- To dziewczynka.
- Dlaczego wciąż się upierasz, że to dziewczynka?
- Nie lubię chłopców. Są wstrętni. To oni są sprawcami wszystkich kłopotów na świecie.
- Dziewczynki też sprawiają kłopoty.

Nie aż takie.

Pokochasz naszego syna.

Ma na imię Victoria.

Ma na imię Nick.

Victoria bardziej mi się podoba.

Masz na myśli Victora?

Mam na myśli Victorię.

\*

\*\*

Tak namiętnie jej pragnąłem. I to już od chwili, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Wówczas odeszła, opuściła dom swojej ciotki, gdzie spotkaliśmy się na herbacie, a ja bez niej czułem się okropnie, właściwie to byłem kaleką, dopóki nie ujrzałem jej ponownie. Gdyby nie ona, mógłbym przeżyć życie zupełnie inaczej - być reporterem, murarzem - cokolwiek by się nawinęło. Moja proza, taka, jaką się stała, pochodzi od niej. Bo ja wciąż rzucałem pisanie, nienawidziłem go, wpadałem w rozpacz, miałem kartki i rozrzucałem je po pokoju. Jednak ona potrafiła wyszukać w tym śmietniku różne rzeczy, a ja nigdy tak naprawdę nie wiedziałem, kiedy jestem dobry, myślałem, że żadna linijka, którą napisałem, nie wyrasta ponad przeciętność, bo nie miałem jak się przekonać, że jest inaczej. Jednak ona umiała wziąć kartki i znaleźć na nich dobre kawałki, i zachować je, i domagać się kolejnych, więc wpadłem w nałóg i pisałem najlepiej, jak umiałem, i wręczałem jej kartki, a ona dobierała się do nich z nożyczkami, a kiedy zmontowała całość, z początkiem, środkiem i zakończeniem, byłem bar-

dziej zaskoczony, niż kiedy ujrzałem to w druku, bo na początku nie zrobiłbym tego sam.

Tak było przez trzy lata, a może cztery albo pięć, a potem zacząłem mieć jakieś pojęcie o tym fachu, ale to było jej pojęcie, i nigdy nie obchodzili mnie inni, którzy mogliby czytać moje teksty, pisałem tylko dla niej, i gdyby jej nie było, w ogóle mógłbym tego wszystkiego nie napisać.

Odkąd była w ciąży, przestało jej zależeć na czytaniu moich rzeczy. Przynosiłem jej fragmenty scenariuszy, ale ona nie wykazywała żadnego zainteresowania. Tej zimy, gdy była w piątym miesiącu, napisałem opowiadanie, a ona wylała na nie kawę - rzecz niesłychana - a potem przeczytała je, ziewając. Przed ciążą zabierała maszynopisy ze sobą do łóżka, po czym całymi godzinami robiła skróty, poprawiała i robiła notatki na marginesie.

Dziecko było jak głaz, który leżał pomiędzy nami. Martwiłem się i zastanawiałem, czy kiedykolwiek jeszcze będzie jak dawniej. Tęskniłem za tamtymi dniami, gdy mogłem wejść do jej pokoju i pochwycić nieco z jej intymności, szal, sukienkę, białą wstążkę, a już sam dotyk wprawiał mnie w stan uniesienia, rechotałem z zachwytu nad swoją ukochaną jak żaba rycząca. Krzesło, na którym siedziała przed toaletką, lustro, które odbijało jej śliczną twarz, poduszka, na której kładła głowę, para pończoch wrzuconych do kosza z brudną bielizną, rozbijająca miękkość jej jedwabnych majtek, jej koszule nocne, mydło, mokre ręczniki wciąż jeszcze ciepłe po jej kąpeli; potrzebowalem tych rzeczy, były częścią mojego życia z nią, a ślad po szmince mi nie przeszkadzał, bo czerwień pochodziła z ciepłych ust mojej kobiety.

Teraz wszystko się zmieniło. Jej suknie były specjalnie skrojone, tak że miały wielką dziurę z przodu, przez którą ły- pał brzuch, jej halki były beznadziejnymi workami, płaskie buciory nadawały się wyłącznie do pracy na polu ryżowym, a bluzki przypominały namioty dla szczeniąt. Któryż mężczyzna mógłby wziąć taką suknię, zanurzyć w niej twarz i za- drzeć pod wpływem dawnej, znajomej namiętności? Wszystko też inaczej pachniało. Kiedyś używała jakiegoś czaro- dziejskiego pachnidła o nazwie Fernery at Twilight\*. To było jak wdychanie Chopina i Edny Millay i gdy ten zapach wznosił się z jej włosów i ramion, wiedziałem, że flaga jest wciągnięta na maszt i że ona chce, bym ruszył za nią w po- goń. Już nie używała Fernery at Twilight, zamiast tego była jakaś woda kolońska Gayelord Hauser, która cuchnęła po prostu samym zdrowiem, czystym alkoholem i zwyczajnym mydłem. Był jeszcze zapach tabletek witaminowych, drożdży piwnych, melasy trzcinowej i jasnego balsamu, który koił jej pękające sutki.

Leżąc w łóżku, słuchałem, jak człapie po domu, i zastana- wiałem się, co się z nami dzieje. Pałłem w ciemności, jęcza- łem i utwierdzałem się w przekonaniu, że ona pcha mnie w ramiona innej kobiety. Nie, już mnie nie chciała, wypycha- ła mnie do innej, do kochanki. Ale jakiej znowuż kochanki? Lata temu wycofałem się z dżungli, w której grasują kawa- lerowie. Gdzie niby miałbym znaleźć inną kobietę, nawet gdybym chciał? Wyobraziłem sobie, jak czaję się na Santa Monica Boulevard, ślinię się do wolnych kobiet w ciemnych,

\* Fernery at Twilight (ang.) - paproć o zmierzchu (przyp. tłum.).

dziwacznych knajpach, pocąc się nad mądrymi dialogami, pijąc na umór, by zatuszować jawną ohydę takich romansów. Nie, nie mógłbym zdradzić Joyce. Nawet nie chciałem być niewierny, i to też mnie martwiło. Czyż zdradzanie ciężarnych żon nie było ogólnie przyjęte? Zdarzało się to nagminnie w klubie golfowym; słyszałem o tym od wszystkich facetów. Co było ze mną nie tak? Dlaczego nie uganiałem się po mieście za zakazanymi przyjemnościami? Tak więc leżałem tam sobie, próbując rozdmuchać płomień namiętności dla nieznanego owocu. Ale na próżno.

\*

\*\*

Jednak byłem zadowolony, że śpię sam. Zapomniałem, jakie to przyjemne. Przez cztery lata leżeliśmy obok siebie noc w noc. Bez szemrania znosiłem kopniaki i spałem do połowy odkryty przez ponad tysiąc trzysta nocy. Ostatnio stan Joyce ujawnił jej najgorsze cechy. Zniknęło całkowicie wszelkie poczucie przyzwoitości. Powróciła do pierwotnej dżungli, gdzie walczy się o przetrwanie. Teraz wykańczała mnie z zimnym wyrachowaniem. W różnych godzinach nocnych budziłem się z powodu wyrwanej spod głowy poduszki, głośnego chrupania jabłka albo wyrefinowanej tortury, jaką stanowiły okruchy krakersa z razowej mąki uwierające mnie w bok. Jadła jak uchodźca właśnie uwolniony z obozu, przychodząc do łóżka z wielkimi kanapkami i dzbankiem mleka. Jej konsumpcja mleka była zadziwiająca. Siedziała wsparta na poduszkach - swoich i moich - jedząc i czytając, głównie Gesella Arnolda *Infant and Child in the Culture of Today*.



Gesella Arnolda *The Feeding Behavior of Infants: A Pediatric Approach to the Hygiene of Early Life* (z Ilgiem). Albo Gilbert Margaret *Biography of the Unborn*.

Dziesięć razy w nocy wyskakiwała z łóżka i pędziła do łazienki, bezczelnie głośno spuszczała wodę w klozecie, płukała gardło, szorowała zęby, brała prysznic. Potem wracała do łóżka, wskakiwała do niego i mościła się, kokosiła, by zasiąść na tronie w miejscu, które zamieniła w swoją oberżę, rozdęta bogini rozparta na poduchach. Gdy się poruszyłem czy coś mruknąłem, nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi.

Tak więc byłem bardzo rad, gdy zacząłem sypiać sam, kłaść się do łóżka, które nie było jednocześnie barem, rozkładać swobodnie ręce i nogi. To była niesamowita przyjemność, atawistyczna hulanka, powrót do Matki Ziemi. Jednak ona wyniuchała moją radość, musiała wyczuć ją przez ścianę, bo zaczęła się domagać różnych rzeczy. Szklanki mleka, kanapki, zapalek, książki. A jeśli nie, lampka przy moim łóżku zapalała się nagle, a ona tam stała, ciężka, biała i smutna, i mówiła cicho: „Nie mogę zasnąć”. To było pojedyncze łóżko, więc kiedy wchodziła do niego i kładła się obok, brakowało miejsca, chyba że położyła się na plecach, z kopcem sterczącym do góry. Odsuwałem się. To przypominało spanie na brzegu rowu.

- Nienawidzisz mnie, prawda? - spytała kiedyś.
- Nie nienawidzę cię.
- To dlaczego się odsuwasz? Coś nie tak?
- Nie mogę spać na tobie.
- Możesz, jeśli chcesz.

- Nie rusza mnie to, przykro mi.

- Chodzi o mój oddech?

Chuchnęła mi w twarz. Jej usta, które kiedyś były ciepłe i słodkie, teraz wydzielają ten jestem w ciąży zapach, nie nieprzyjemny, ale też nie przyjemny.

- Sam nie wiem.

Przez chwilę leżała nieruchomo wpatrzona w sufit, biały kopyczek poruszał się miarowo w górę i w dół, złożyła na nim ręce. Zaczęła płakać, strumyczek łez popłynął w dół po jej twarzy.

- Kochanie, o co chodzi?

- Mam zatwardzenie - załkała. - Ciągłe mam zatwardzenie.

Przytuliłem ją, odgarnąłem włosy do tyłu i ucałowałem ciepłe czoło.

- Nikt nie kocha kobiety ciężarnej - zaszlochała. - Widzę to wszędzie, gdziekolwiek się ruszę. Na ulicy, w sklepach, wszędzie. Tylko się gapią i gapią. To okropne.

- Tak ci się tylko zdaje.

- Ten miły rzeźnik. Był taki uroczy. Teraz ledwie co na mnie spojrz.

- Czy to ważne?

- Bardzo ważne!

Tej nocy dużo płakała, aż policzki jej spuchły i napięcie opadło, aż zaniepokoiła ją aktywność w gnieździe. Odrzuciła kołdrę.

- Spójrz.

Dziecko wierciło się jak kociak pochwycony w balon. Kopało boleśnie i widać było coś, co wyglądało na małą stópkę walącą w ściany swego więzienia.

- Dziewczynki tak nie kopią.

- A właśnie, że kopią.

Przyłożyłem ucho do miękkiej ciepłej górki i nasłuchiwałem. To były odgłosy jak z browaru: syczące rurki, fermentujące kadzie, parujące zmywarki do butelek, a z oddali, z dachu browaru, dochodziło czyjeś wołanie o pomoc. Ujęła mnie za rękę.

- Pomacaj główkę.

Znalazłem właściwe miejsce; to było wielkości piłki baseballowej. Wyczułem coś, co uznałem za rękę, stopy. Potem nagle się przeraziłem, ale nic nie powiedziałem, żeby jej nie wystraszyć. Tam były dwie piłki baseballowe, tam były dwie głowy!

Powiedziałem jej, że to wspaniałe, ale lęk boleśnie ścisnął mnie za gardło, bo były tam na pewno; moja zachwycająca Joyce nosiła straszliwe brzemię. Jeszcze raz pomacałem to miejsce. Nie mogło być co do tego wątpliwości. Dziecko jest potworem. Zacisnąłem zęby i położyłem się z sercem wezbranym obrzydzeniem, zbyt przerażony, by mówić. Płacz nie był wyrazem dzielności w tej sytuacji, ale nie mogłem powstrzymać żalu, a kiedy ona zauważyła moje łzy, zasypała mnie czułościami zadowolona z mego płaczu.

- Mój kochany! Jesteś taki uczuciowy!

Wreszcie wziąłem się jakoś w garść, ale chciałem być sam, przemyśleć to wszystko, zadzwonić do doktora Stanleya, sprawdzić, czy coś da się zrobić. Jej głód nasunął mi pretekst. Chciała kanapkę z awokado. Wstałem, żeby ją przynieść. Musiałem się jednak upewnić, że wcześniej się pomyliłem, więc wróciłem.

- Pozwól mi jeszcze raz dotknąć.

- Oczywiście.

Moja dłoń przesunęła się po tym miejscu. Niemal zemdlałem, gdy dwie wypukłości wbiły mi się w rękę. A więc to prawda: spółdziliśmy monstrum. Chwiejnym krokiem zszedłem na dół. W małej kuchence, gdzie trzymaliśmy telefon, w tej klitce, stałem w ciemności z głową przyciśniętą do ściany i znów zacząłem płakać.

Wiele rzeczy teraz się wyjaśniło, przeszłość objawiła się jak wywrócony kosz na śmieci. Bo to nie wina Joyce. Jej życie było czyste, bez skazy. Jednak przedmażeńskie lata Johna Fantego to były głupie lata pełne romansów nawiązywanych na chybił trafił. Z wielu powodów należało się zaczerwienić, były grzechy, ciężkie grzechy, i gdzieś w tym wirze zła została zasiana kara, a teraz nadszedł czas, by zebrać haniebne żniwo.

Zrobiłem kanapkę i zaniósłem ją na górę. Joyce, już w pełnej gotowości, unosiła się na poduchach, wyciągała ręce do jedzenia. Nie mogłem tego znieść. Zszedłem na dół, zamknąłem się z telefonem w kuchni i wykręciłem numer doktora Stanleya. Był w szpitalu, czekał na rozpoczęcie porodu.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z panem.

- Jak się czuje Joyce?

- Dobrze. Chodzi o mnie. I o dziecko.

- O pana?

- Przyjadę. To bardzo ważne.

Znów wszedłem na górę. Joyce skończyła kanapkę. Wyciągnęła się na całą długość i wpatrywała w brzuch.

- Jest piękny - powiedziała. - Wszystko jest piękne.

Wkrótce zasnęła. Ubrałem się i zszedłem na palcach na dół, a potem bocznymi drzwiami do garażu. Była za piętnaście trzecia, ulice puste, jakieś szaleństwo biło z tej dziwacznej ciszy wielkiej metropolii. W dziesięć minut zajechałem przed St. James's Hospital. Recepcjonistka powiedziała mi, że doktor Stanley jest na dwunastym piętrze. Odbierał tak wiele porodów, że szpital zarezerwował dla niego pokój na oddziale położniczym, by mógł się czasem zdrzemnąć. Drzwi do jego pokoju były otwarte. Leżał na kozetce bez marynarki. Moje ciche pukanie natychmiast go przebudziło i zerwał się na nogi. Był niskim mężczyzną o twarzy niemowlęcia, jego wielkie oczy wyrażały nieustanne zdumienie. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

- Pan też jest w ciąży?

Powiedziałem, że nie ma z czego żartować.

- Doprawdy?

- Myślę, że jestem bardzo chorym człowiekiem.

- Na moje oko wygląda pan całkiem zdrowo.

- Niech pan poczeka, aż wszystko wyjaśnię. To nie będzie wcale śmieszne.

- Czekam. Proszę usiąść.

Opadłem na jego kozetkę i zacząłem się niespokojnie wiercić, bo chciało mi się palić.

- Z dzieckiem dzieje się coś strasznego.

- Myślałem, że chodzi o pana.

- Zaraz do tego dojdę. Moja dolegliwość wiąże się z dzieckiem. Moja choroba.

- Co to za choroba?

Nie mogłem mu powiedzieć. Nie chciałem.

- Kiedy ostatnio robił pan test Wassermanna? - spytał.

Powiedziałem, że mniej więcej przed rokiem.

- Ale te testy są zawodne, doktorze. Czytałem o tym artykule w prasie.

- Czy zdradzał pan żonę?

- Tak. To znaczy nie. Chodzi mi o to, że zanim się ożeniłem, była taka jedna dziewczyna. To znaczy niejedna. Chodzi o to, że się martwię, panie doktorze.

- Dlaczego sądzi pan, że z dzieckiem jest coś nie w porządku?

- Macałem je.

- Macał je pan? Jak?

- Położyłem ręce na brzuchu Joyce.

- I?

- Poczułem coś dziwnego.

- Jakie to było doznanie?

- Czytałem ten artykuł w piśmie medycznym, panie doktorze. Czasami na teście Wassermanna nie można polegać.

- Co pan takiego poczuł?

Nagle odechciało mi się o tym rozmawiać. Uświadomiłem sobie, że jestem durniem, że z dzieckiem wszystko w porządku, że wcale nie ma dwóch głów, że ubzdurałem sobie to wszystko, bo dopadły mnie wyrzuty sumienia. Moja obecność na dwunastym piętrze St. James's Hospital o trzeciej trzydzięci nad ranem i rozmowa z doktorem Stanleyem na oddziale położniczym to czysty absurd. Chciałem wyjść stamtąd, znaleźć się w samochodzie, pojechać do domu, wczłogać się do łóżka, nakryć głowę kocem i obudzić się



świeży i wypoczęty w nowym dniu. Zamiast tego stałem przed tym zmęczonym lekarzem, zadręczałem go swoimi idiotyzmami i nie pozostawało nic innego, jak wycofać się w cywilizowany sposób.

- Doktorze Stanley, myślę, że popełniłem poważny błąd.

- A więc dotknął pan dziecka i odczucie było dziwne. Proszę opowiedzieć mi o tym dziwnym odczuciu. Proszę je opisać.

Odpowiedź brzmiała: dwie głowy. Lepiej wyskoczyć przez okno, niż to powiedzieć.

- Przepraszam, panie doktorze. Myliłem się. Po prostu myślałem, że coś wyczułem. Przepraszam, że zabieram panu czas.

Zacząłem wychodzić, wycofując się rakiem, ale on mnie zatrzymał i nacisnął dzwonek na ścianie, po czym natychmiast zjawiała się pielęgniarka. Kazał mi zdjąć marynarkę i podwinąć rękaw, chciał bowiem, bym pozbył się wszelkich wątpliwości.

- Ależ to niedorzeczne, panie doktorze. Z moją krwią wszystko w porządku. Absolutnie w porządku.

Owinał gumowy wąż wokół mego ramienia, aż żyły się wypuczyły, poczułem ukłucie igły i patrzyłem, jak moja krew jest wsysana do strzykawki.

- Proszę wrócić jutro wieczorem - powiedział. - O dowolnej porze. Będę miał pańskie wyniki.

Odwinąłem rękaw i włożyłem marynarkę.

- To niemądre, panie doktorze. Ze mną wszystko w porządku.

- Proszę jechać do domu. Przespać się trochę.

Jechałem do domu cichymi ulicami, myśląc o tych innych dziewczętach, słodkiej Avis i kochanej Monice, i nagle ogarnął mnie gwałtowny przyptyw tęsknoty za nimi po tych wszystkich latach, bo były takie piękne i czułe, miały takie wspaniałe ciała, nierozdęte ciążą, obudziło się we mnie jakieś zachwycająco ckliwe pożądanie do tych dziewcząt, a one odeszły na zawsze, więc omal się nie rozplakałem, gdy uświadomiłem sobie, że już nigdy nie będę mógł ich mieć. Wszystko przez to małżeństwo, złożenie do grobu, to plugawe więzienie, w którym mężczyzna z powodu przemożnego pragnienia, by być dobry, uczciwy i zdrowy, pozwala robić z siebie głupka o trzeciej nad ranem, bez żadnego wynagrodzenia poza dziećmi, zresztą zgrają niewdzięczników. Już je sobie wyobrażam, te swoje dzieci, jak wykopują mnie na ulicę w podeszłym wieku, pozbawiają domu, podpisują papiery, żeby zapewnić mi emeryturę i mieć mnie z głowy, zramolałego staruszka, który najlepsze lata poświęcił na uczciwy znój, by one mogły radośnie smakować życie. I takie spotkało mnie podziękowanie!

Następnego nocy wróciłem do szpitala i czekałem na wyniki badania swojej krwi, które miałem otrzymać od doktora Stanleya. Czułem się tam okropnie. Doktor Stanley odbierał poród, więc pielęgniarka powiedziała, bym zaczekał w pokoju dla ojców. Było tam dwóch innych ojców, z których jeden spał na skórzanym fotelu, a drugi czytał jakieś czasopismo. Ja paliłem papierosy i chodziłem tam i z powrotem po pokoju. To

było niedorzeczne. To przecież nie miejsce dla mnie - jeszcze nie. Ale oto właśnie tu byłem, przeżywałem całe to poruszenie i mężczyzna z czasopismem uznał, że dzielimy ten sam los.

- Jak twoja stara? - spytał.

- Dobrze. A twoja?

- Niedobrze.

Jego oczy to były czerwone szparki, twarz miał sponiewieraną zmartwieniem, włosy długie, powinien się ogolić.

- Rodzi od trzynastu godzin.

- Przykro mi to słyszeć.

- Może zrobią cesarkę.

Nie powinno mnie tu być. Profanowałem to miejsce, gdzie rodziło się życie, gdzie kobiety cierpiały, a mężczyźni się martwili. Ci ludzie mieli rzeczywiste problemy, podczas gdy ja tylko się wygłupiałem, byłem ofiarą samego siebie. Nagle zjawiała się pielęgniarka.

- Pan Fante...

Cesarski ojciec uściśnął mi dłoń. Drugi mężczyzna również wstał i wyciągnął do mnie rękę. Życzyli mi szczęścia. Podziękowałem i poszedłem za pielęgniarką do gabinetu doktora Stanleya. Siedział tam, trzymając kartkę papieru.

- Wszystko z panem w porządku.

- Wiedziałem to cały czas.

Uśmiechnął się.

- Co pan jadł zeszłego wieczoru na kolację?

Powiedziałem mu: spaghetti, klopsiki, sałatę, wino, lody.

- Dlaczego pan pyta, doktorze?

- Cholesterol. Ma pan podwyższony wynik. Ale pańska kolacja wszystko wyjaśnia.

- Cholesterol! O Boże! Czytałem o cholesterolu w takim jednym czasopiśmie. Jest niebezpieczny. Blokuje tętnice i wywołuje ataki serca. Czytałem o tym w „Hygeia”.

- Czy ma pan problemy z sercem?

- Jeszcze nie, ale...

- Niech pan o tym zapomni.

- Cholesterol! Dlaczego właśnie mnie to spotyka!

Poradził, bym przestał czytać artykuły medyczne i zapomniał o całej sprawie, ale ja nie mogłem zapomnieć, chwiejnym krokiem oddaliłem się korytarzem do windy, po omacku nacisnąłem guzik, pot wystąpił mi na dłoniach, zjechałem windą, bulgotanie w brzuchu, cholesterol, ataki serca, autor mdleje i umiera na nagły atak, potem na ulicę, słaniając się, do samochodu, za kierownicę, odnalezienie pulsu, odliczenie uderzeń zgodnie z zegarkiem na nadgarstku, John Fante, odszedł nagle, przerwana kariera, siedemdziesiąt dwa uderzenia na minutę, mój Boże, cholesterol, muszę to sprawdzić, wyszukać informacje na ten temat, zapoznać się z tą budzącą postrach substancją.

Gdy wróciłem do domu, Joyce spała. Zbliżała się północ. Poszedłem do łóżka, nie gasząc światła, często mierzyłem sobie puls. To była ciężka noc. Pamiętam, że dniało, gdy wreszcie zasnąłem. Obudziłem się w południe z doskonałym samopoczuciem.

Joyce była w swoim pokoju, pisała listy.

- Jak się spało?

- Strasznie - odparła. - Całą noc nie zmrużyłam oka.

- Nie jedzmy już więcej spaghetti. Ma mnóstwo cholesterolu.

- Naprawdę?

- Jedzmy sałatki, marchewki. Świeże warzywa wprost z grządki, chrupkie i dobre dla ciebie.

Poszedłem do łazienki i zmierzyłem sobie puls. Sześćdziesiąt osiem uderzeń. O cztery mniej. Wolny puls był lepszy niż szybki. To pewne. Czytałem o tym w wielu periodykach.

O 9.27 rano, 18 marca, w siódmym miesiącu ciąży, Joyce Fante wpadła do dziury powstałej w kuchennej podłodze naszego domu. Już sama jej waga - utyla dwadzieścia pięć funtów i ważyła sto czterdzieści cztery - plus stan stolarki doprowadziły do przeraźliwej kulminacji, gdy zaatakowane przez termyty deski podłogowe załamały się pod rozdartym linoleum i kobieta z wielkim brzuchem zapadła się pod ziemię na głębokość trzech stóp.

Siedziałem wtedy na gorze w wannie i pamiętam szczególnie wszystkie drobne wydarzenia, które nastąpiły tuż przed katastrofą i tuż po niej. Najpierw był ten piękny, spokojny poranek przystrojony złocistym słonecznym blaskiem, łagodność kąpieli, tajemnicze wizje w zamkniętej w zbiorniku wodzie, przywoływanie odległych wspomnień i nagle, skądinąd, zewsząd, drżenie powietrza, złowieszcza zapowiedź reakcji łańcuchowej w rozszczepialnych materiałach. Chwilę później usłyszałem jej krzyk. To był teatralny krzyk, Barbara Stanwyck pochwycona przez gwałciciela, i szarpnął mnie za kręgosłup jak palce olbrzyma.

Wyskoczyłem z wanny i otworzyłem drzwi. Słyszałem wrzask Joyce dobiegający z dołu. Myślałem tylko o dziecku - drogocennym białym melonie.

- Już idę, Joyce, bądź dzielna, kochanie, już idę!

Miałem w pokoju pistolet, ale w tej chwili myślałem przede wszystkim o tym, że Joyce mnie potrzebuje. Gdy biegłem po schodach, nagi i przerażony, nabrałem przeświadczenia, że to moje ostatnie kroki na tym padole, że umrzemy razem, że moglibyśmy przeżyć, gdybym był uzbrojony.

Na początku w ogóle jej nie zauważyłem. Po chwili znalazłem ją przed piecem kuchennym, właśnie tam, gdzie wleciała do dziury, wciśniętą przytulnie w równiutką zapadnię, skróconą nieco, jakby była karlicą, z plasterkiem szynki w jednym ręku, patelnią w drugim, z wieloma rozbitymi, ciekącymi jajkami wokół. Była raczej wściekła niż okaleczona, rozpuszczone masło spływało jej z włosów i mieszało się ze łzami, kleiste żółtko ściekało z łokci.

- Wydobądź mnie stąd, proszę.

Wyciągnąłem ją. Była zaskakująco spokojna. Stałem, wpatrując się w podłogę.

- Co się stało?

Jej palce zbadały brzuch, szukając oznak życia. Podeszła do telefonu i wykręciła numer.

- Proszę powiedzieć doktorowi Stanleyowi, żeby się pośpieszył. To nagły wypadek.

Odwiesiła słuchawkę i ruszyła ku schodom.

- Jak to się stało?

Nie odpowiedziała. Chwilę później była już w łóżku. Miotłem się wokół, starając się na coś przydać. Była bardzo



blada, ale spokojna. Potem zamknęła oczy. To mnie przeraziło. Potrzęsnałem nią.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak.

Znowu przymknęła oczy, co ponownie mnie przestraszyło. Pobiegłem na dół i przyniosłem jej trochę brandy. Nie chciała wypić. Poprosiłem, by nie zamykała oczu.

- Po prostu odpoczywam.

- Myślę, że nie powinnaś zamykać oczu.

- Tylko odpoczywam, zanim przyjedzie lekarz.

Doktor Stanley zjawił się po dwudziestu minutach. Zaprowadziłem go na górę i zaczął ją badać. Upadek nie spowodował uszkodzeń ani u niej, ani u dziecka. Odłożył stetoskop. Odprowadziłem go do drzwi frontowych. Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać po męsku.

- Czy mogę coś zrobić, doktorze?

- Nie. Nic.

W jego oczach pojawił się zimny błysk. Zaczynał mieć nas dosyć. Zabieraliśmy mu mnóstwo czasu.

Poszedłem do kuchni i stanąłem nad dziurą w podłodze. Grzyb i termyty zżarły drewno. Kruszyło się w mojej dłoni jak miękki chleb. Podszedłem do zlewu i wałnąłem obcasem w podłogę. Uderzenie przebiło deskę, pozostawiając dziurę. Najwyraźniej cała podłoga była zmurszała. We wnęce jadalnej uderzyłem pięścią w ścianę. Kłykcie zagłębiły mi się w gąbczasty tynk i drewno. Wdrapałem się na stół, żeby sprawdzić sufit, lecz pod moim ciężarem nogi stołu zatopiły się w podłodze. Poszedłem do jadalni i stanąłem przed wielką bladozieloną ścianą, świeżo malowaną, nieskalaną.

Uniosłem pięść, by wymierzyć cios, ale aż mnie zemdliło i bałem się uderzyć.

Mój dom! Dlaczego coś takiego przydarzyło się Johnowi Fantemu? Cóż takiego uczyniłem, że zakłóciłem bieg gwiazd? Wróciłem do dziury Joyce i wgapiłem się w nią. Podniosłem kawałek zniszczonego drewna. Tam je ujrzałem, małe białe bestie pełzające w martwym drewnie, drewnie mojego domu, i ująłem jednego w palce, jego białe nóżki wierzgały w powietrzu - termit, nieludzkie stworzenie, i zabiłem go, ja, który nie mogłem znieść zabijania, ale musiałem wycisnąć z niego życie za to, co on i jego nikczemny ród zrobiły z moim domem. To był pierwszy termit, jakiego kiedykolwiek zabiłem. Jak dotąd widywałem je wszędzie i przyglądałem się im z zaciekawieniem i podziwem. Wyznawałem twardo zasadę „żyj i pozwól żyć innym” i oto podziękowanie dla mnie, ta ohydna zdrada. Cóż, coś było nie tak z moim myśleniem, musiałem wprowadzić zmianę w swoich relacjach z owadami, należało uznać twardą rzeczywistość, jako że fakty mówiły same za siebie, więc zacząłem wtedy i tam zabijać termyty, rozdzierając drewno, miażdżyłem je, wyciskałem z nich podłe życie, a one w dzikiej panice umykały pomiędzy moimi palcami.

Dom sprzedał nam pośrednik handlu nieruchomościami, niejaki J.W Randall. Był szczupły i rzutki, kowboj, który zakończył karierę w siodle. Przyszedł do domu i obejrzał zniszczenia. Zmiażdżył papkowaty kawałek drewna między

palcami, po czym strzepnął termity, które zaroily się w długich włosach porastających wierzch jego dłoni.

- Panie Randall, zostaliśmy oszukani. Zamierzam pozwać pana do sądu.

- Nie może pan.

- To pan zorganizował sprzedaż.

- Ale to sprawka Smitha. Jego pozwijcie.

Smith był inspektorem od termitów.

- Słyszałaś, Joyce? To sprawka Smitha. Będziemy go ciągać po sądach.

- Panie Randall, jest pan draniem - powiedziała Joyce.

Wyprostował się.

- Hola, młoda damo.

Odeszła od niego. Pan Randall był urażony i wściekły. Sztynnym krokiem wyszedł z domu. Pobiegłem za nim. Wsiadł do samochodu z nachmurzoną miną i sapał głośno przez nos.

- Jestem w branży od trzydziestu lat. Do diaska, człowieku! Wilshire Boulevard to moje dzieło! A ona nazywa mnie draniem!

- Jest zmartwiona, panie Randall. To przez jej stan.

- Synu, pozwól, że udzię ci pewnej rady. Jestem już dziadkiem. Mam czworo wnucząt. Lepiej uspokój tę młodą damę. Ciężarna kobieta powinna mieć czyste myśli. Nic dziwnego, że mamy tak wielką przestępczość nieletnich. Uważaj, chłopcze. Wiem, o czym mówię.

- A co ze Smithem?

- Pozwijcie faceta.

Smitha nie udało się odnaleźć. Poszedłem do garażu, w którym miał biuro, otynkowanej budy za stolarnią na Tem-

ple Street. Nazwał swoją firmę Murder, Inc. Wyjechał. Nikt nic o nim nie wiedział oprócz tego, że lubił anżelikę. Rozmawiałem z prawnikiem. Powiedział, że na termin rozprawy poczekamy ze dwa lata, a bez Smitha w ogóle nie można założyć sprawy. Przyjechał do nas przedsiębiorca budowlany, by oszacować kosztorys remontu. Wycenił prace na cztery tysiące.

Joyce: - Moglibyśmy mieć za to dziesięcioro dzieci.

Cztery tysiące! To był nóż wbity prosto w serce. Chwijnym krokiem poczłapałem do kuchni, omdlały i zraniony. Główne zniszczenia były właśnie w kuchni. Pełzając na kolanach pod zlewem, macałem na oślepe, myszkowałem wokół. Słysząc było jakieś odgłosy. Przyłożyłem ucho do podłogi. Właśnie tak, kilka cali ode mnie słyszałem je, te nikczemne bestie, które właśnie wgryzały się w moje drewno. To było rytmiczne mielenie tysięcy małych szczęk, które karmiły się ciałem i krwią Johna Fantego.

Nagle mnie olśniło i już wiedziałem, co robić. Ta myśl orzeźwiła mnie jak chłodna woda. Chmury się rozstały, burza odeszła i on tam był, śmiały jak promyk słońca, największy murarz w całej Kalifornii, najzaciejszy budowniczy ze wszystkich! Tata! Moja krew, stary Nick Fante. Pobiegłem na schody i zawołałem Joyce.

- Byliśmy ślepi i głupi!
- Dlaczego?
- Mój ojciec!
- Wspaniale!

Zbiegła po schodach i padliśmy sobie w ramiona. Ona też kochała tatę, a on ją uwielbiał.

- Zrobi to za darmo. Oszczędzimy tysiące.  
Ale ona nagle spoważniała i zamyśliła się.
- Obiecay mi coś.
- Jasne.
- Że nigdy nie będziesz traktował naszego dziecka tak, jak traktował ciebie ojciec.
- Był dobrym ojcem. Surowym, ale dobrym.
- Kiedyś zbił cię na gołe ciało kielnią. Twoja siostra Stel-  
la mi opowiadała.
- Należało mi się. Sprzedałem jego betoniarkę i kupiłem  
sobie rower.
- Teraz już się nie bije dzieci. To zostało uznane za nie-  
słuszne. Obecnie odmawia im się pewnych przywilejów.
- Odmówił mi roweru. Nawiasem mówiąc, to była jego  
jedyna betoniarka.
- Czytałeś *Wolf Child and Human Child* Gesella?
- Nie.
- Każdy ojciec powinien to przeczytać. To podstawa.
- Poczytam sobie w drodze na Północ.

# 2

MOJA MAMA I MÓJ TATA mieszkali w San Juan, w Dolinie Sacramento, kilkanaście mil jazdy ze stolicy stanu. Wiedli teraz cudowny żywot emerytów na państwowym garnuszku, pławili się w spokoju, jakiego wcześniej nie zaznali. Mieszkali w czteropokojowym domku z drewna sekwojowego, ogromny figowiec zacieśniał podwórko na tyłach domu. Tuzin kur gdał na podwórzu, obżerając się figami spadającymi z drzewa i soczystymi gronami Tokaju, którego bujne pnącza groziły wywróceniem parkanu. Te kury znosiły olbrzymie jajka, których ciepło mama lubiła czuć w dłoniach w ironicznym przypływie tęsknoty, bo był taki czas w życiu tej matki, kiedy liczba dzieci przewyższała liczbę jajek.

Na beczce pod figowcem spały cztery koty taty, lśniące egipskie bóstwa, spasione na sercach wołowych, mózdkach cielęcych i mleku. Te cztery koty zastąpiły czwórkę dzieci, które dorosły i opuściły dolinę, wzięły śluby i dorobiły się zmęczonych oczu i koronek na zębach, jako że niegdyś było ciężko o pracę i tata nigdy nie zarabiał dość, by móc regularnie



żyć swoje dzieci sercami wołowymi, cielęcymi mózdkami i mlekiem.

Tata i mama żyli sobie w pogodnej samotności, czytając „Sacramento Bee” i słuchając radia, zbierając jajka i grabiąc wielkie zielone liście figowca, dwoje ludzi pod siedemdziesiątkę wyczekujących listonosza, który już nie napędzał im strachu rachunkami i zbyt rzadko zjawiał się z listami od mieszkających daleko dzieci.

Stella nie musiała pisać. Mieszkała wraz z mężem na farmie za San Juan i przyjeżdżała dwa razy w tygodniu z koszami pełnymi cukinii, pomidorów, brzoskwiń, pomarańczy i masła.

Przywoziła swoje córeczki i w gorące popołudnia tata siadywał z nimi pod figowcem, dawał im ukradkiem napić się schłodzonego wina, opowiadał im różne historyjki i zastanawiał się, dlaczego, na litość Matki Bożej z Góry Karmel, nie posiada żadnych wnuków. Bo tata miał sześćdziesiąt siedem lat i chociaż zachwycał się niewłoskimi dziewczynami, które poślubili jego synowie, podejrzewał je o szalbierstwo w kwestii prokreacji, o to, że nie znają się na tej robocie.

Raz w tygodniu Joe Muto przyjeżdżał swoim ciężarowym fordem i przywoził dwa galony claretu w cenie pięćdziesiąt centów za galon. Lubił zabierać ze sobą czterech wnuków, małych czarnookich chłopców o twarzach Muto, a tata patrzył na nich krzywo, bo nie byli jego.

Bo co to za życie bez wnuków. Siedząc pod figowcem, tata przechylał dzbanek z winem, oparty na ramieniu, chleptał chłodny claret i dumał. Późnym popołudniem przejeżdżał listonosz, więc mama kręciła się w pobliżu bramy i skrzynki

pocztowej, czekała, udając, że wyrywa tu i ówdzie zielsko. Jeśli nie było żadnych listów, wrywała jeszcze kilka chwastów, łypała nerwowo na drogę prowadzącą do Sacramento i wracała do domu, krzywiąc się z bólu w dotkniętych artretyzmem stopach. Tata patrzył na to dzień po dniu. Wreszcie tracił cierpliwość.

- Przynieś pióro i atrament! - wołał.

Mama posłusznie przynosiła z domu blok papieru i przybory do pisania, układała je na becze pod figowcem i sadowiła się, by napisać kolejny list taty do jego trzech synów: tego z Seattle, tego z Susanville i tego trzeciego, który mieszkał na Południu. Nigdy nie wysyłała tych listów. Były środkiem uspokajającym, bo tata czerpał wielką satysfakcję z dyktowania, jego nerwy kołło przechadzanie się pod szemrzącym listowiem, a czasem przystawał, by w zamyśleniu upić parę łyków claretu.

- Wyślij to do każdego z nich. Przepisz na czysto. Wszystko tak, jak mówię. Nie zmieniaj ani słowa.

Mama moczyła pióro, kolana miała oparte o beczkę, gdy siedziała niewygodnie na skrzynce po jabłkach.

Drodzy synowie!

Wasza matka jest zdrowa. Ja też. Już was, chłopcy, nie potrzebujemy. Więc miłej zabawy, śmieście się, bawcie i zapomnijcie całkiem o swoim ojcu. Ale nie o matce. Nie martwcie się o ojca. Ale o matkę owszem. Wasz ojciec pracował ciężko, by kupić wam buty i kształcić was. Niczego nie żałuje. Niczego nie potrzebuje. Więc miłej zabawy, chłopcy, śmieście się, bawcie, ale pomyślcie czasem o waszej matce. Napiszcie do niej. Nie piszcie

do waszego ojca, gdyż on tego nie potrzebuje, ale wasza matka już się starzeje, chłopcy. A wiecie, jakie one są, jak się starzeją. Więc miłej zabawy, pókiście młodzi. ŚmieJCie się, bawcie i pomyslcie czasami o matce. Jeśli chodzi o ojca, to wszystko jedno. On nigdy nie potrzebował waszej pomocy. Ale wasza matka czuje się samotna. Miłej zabawy. ŚmieJCie się, bawcie.

Oddany wam

Nick Fante

Gdy mama kończyła, pociągał łyk z dzbanka, oblizywał usta i dodawał:

- Wyślij lotniczą.

\*

\*\*

Przybyłem do San Juan w południe, przyleciawszy z Burbank do Sacramento, stamtąd jechałem autobusem. Rodzice mieszkali na skraju miasteczka, gdzie kończył się chodnik, a najbliższa latarnia stała w odległości stu stóp. Idąc ulicą wzdłuż płotu ze sztachet, ujrzałem tatę siedzącego pod figowcem. Na beczce leżała deska kreślarska, a na niej ołówki, linijki, przykładnica. Koty spały na huśtawce, gorący futrzany kłęb.

Słyszac skrzywienie furtki, tata odwrócił się, a jego przy-mrużone oczy ospale wypatrywały przybysza w falującym od gorąca powietrzu babiego lata. To była moja pierwsza wizyta od sześciu miesięcy. Pomijając wzrok, był w świetnej formie. Miał dłonie grube jak cegła i spaloną słońcem szyję, okaza-łą jak rura odpływowa. Rozpoznał mnie dopiero wtedy, gdy znalazłem się jakieś pięćdziesiąt stóp od niego. Postawiłem torbę na ziemi i wyciągnąłem do niego rękę.

- Cześć, tato.

Miał ręce jak Belzebub, zrogowaciałe i nieczułe, sękatę, często łamane palce murarza.

Spojrzał na moją torbę.

- Co tam masz?

- Koszule i inne rzeczy.

Przyjrzał mi się dokładnie.

- Nowy garnitur?

- Nowiuteńki.

- Za ile?

Powiedziałem mu.

- Za drogo.

Kłębiły się w nim różne uczucia. Był bardzo zadowolony, że przyjechałem do domu, ale starał się tego nie okazać, drżała mu broda.

- Czujesz paprykę? Mama smaży paprykę.

Nadpłynęła od strony tylnej werandy, rzeka ambrozyjskich woni, świeże zielone papryczki skwierczące w złocistej oliwie, zaczarowane aromatycznym czosnkiem i balsamicznym rozmarynem, wszystko to zmieszane z zapachami magnolii i żyznych zielonych winnic.

- Pachnie dobrze. Jak się czujesz, tato?

Kurczył się. Z każdym rokiem trochę się zmniejszał, a przynajmniej tak się wydawało. Żaden z nas nie był wysokim mężczyzną, ale teraz, gdy był w podeszłym wieku, miałem poczucie, że jestem od niego wyższy. Podwórze też się zmniejszyło i zdziwił mnie figowiec. Wcale nie był taki duży, jak sobie wyobrażałem.

- Dziecko. Jak się ma małe *bambino*?

- Jeszcze mniej więcej sześć tygodni.

- A panna Joyce? - Ubóstwiał ją. Nie potrafił się zdobyć na to, by po prostu używać jej imienia.

- W porządku.

- Czy nosi go wysoko? - Dotknął klatki piersiowej. - Czy nisko? - Ręka opadła na brzuch.

- Wysoko. Bardzo wysoko, tatku.

- Dobrze. To znaczy, że chłopczyk.

- Nie wiem.

- Co znaczy: nie wiesz?

- W tych sprawach nie można być niczego pewnym.

- Można, jeśli się właściwie postępuje.

Zmarszczył brwi i spojrzał mi prosto w oczy.

- Czy jadłeś dużo jajek, jak ci mówiłem?

- Nie lubię jajek, tato.

Westchnął i pokręcił głową.

- Pamiętasz, co ci mówiłem? Jedz dużo jajek. Trzy, cztery, codziennie. Bo jak nie, będzie dziewczynka. - Skrzywił się i dodał: - Chcesz dziewczynkę?

- Chciałbym chłopca, tato. Ale musisz brać, co dają.

Zasepił się. Zaczął chodzić tam i z powrotem pomiędzy figowymi liśćmi.

- Co to za gadanie. Niedobrze.

- Ale tatku...

Odwrócił się gwałtownie.

- Żadne „ale"! Żadne tam „tatku"! Mówiłem tobie i mówiłem wam wszystkim: Jimowi, Tony'emu i tobie. Mówiłem: jajka. Dużo jajek. Patrz na nich. Jim: nic. Od dwóch lat żona ty. Tony: nic. Żona ty od trzech lat. I ty. Co masz? Nic. - Pod-

szedł do mnie, zbliżył twarz do mojej, buchnął na mnie przesyconym claretem oddechem. - A pamiętasz, co mówiłem o ostrzygach? Masz teraz pieniądze. Stać cię na ostrzygi.

Przypomniałem sobie pocztówkę podyktowaną mamie i wysłaną do Joyce i do mnie w trakcie miodowego miesiąca, który spędzaliśmy nad jeziorem Tahoe. Na pocztówce było napisane, że powinienem jeść ostrzygi dwa razy w tygodniu, aby wzmocnić swoją płodność i począć męskiego potomka. Ale ja nie zastosowałem się do rady, bo nie lubię ostrzyg. Nie żywiłem do nich jakiegóż szczególnej awersji. Po prostu mi nie smakowały.

- Nie przepadam za ostrzygami, tato.

To sprawiło go w osłupienie. Ze zwieszoną głową i otwartymi ustami opadł na huśtawkę i otarł czoło. Koty się obudziły i zaczęły ziewać, ukazując szorstkie różowe jęczyczki.

- Matko Boska Niebieska! A więc to koniec rodu Fante!

- Myślę, że to chłopiec, tato.

- Ty myślisz! - Sklął mnie, rzucił gryzącą, skrzącą się petardę włoskich przekleństw. Splunął mi pod nogi, wyszydził mój gabardynowy garnitur i sportowe mokasyny. Wyjął niedopałek cygara Toscanelli z kieszeni koszuli i wetknął sobie między zęby. Przypalił, wyrzucił zapałkę.

- Ty myślisz! A kto cię prosił, żebyś myślał? Mówiłem przecież: ostrzygi. Jajka. Sam przez to przeszedłem. Dałem ci radę, korzystając z własnego doświadczenia. Coś ty jadł? Cukierki, lody? Pisarz! Fe! Cuchniesz jak morowe powietrze!

Cały tata, bez dwóch zdań. Wcale się nie skurczył, jak się okazało. I figowiec był wielki jak zawsze.

- Idź do mamy. - W jego głosie pobrzmiwał sarkazm. - Idź i powiedz jej, jakiego ma cudnego dużego chłopca.

Powitanie z mamą było zawsze najtrudniejszym zadaniem po powrocie do domu. Mama była typem mdlejącym, zwłaszcza gdy nasza nieobecność przeciągała się ponad trzy miesiące. Poniżej trzech miesięcy można było zachować pewną kontrolę nad sytuacją. Wtedy jedynie chwiała się niebezpiecznie i wyglądała, jakby miała runąć, ale dawała nam czas, by złapać ją przed upadkiem. Nieobecność miesięczna nie pociągała za sobą żadnych problemów. Mama łkała tylko przez kilka chwil, a potem zalewała nas jak zwykle gradem pytań.

Jednak teraz przerwa w kontaktach trwała sześć miesięcy, a doświadczenie nauczyło mnie, żeby nie wpadać do domu znienacka. Technika polegała na tym, by zakraść się na paluszkach, objąć mamę od tyłu, cichutko się zaanonsować i poczekać, aż ugną się pod nią kolana. W przeciwnym razie sapnęłaby: „Dzięki Bogu!”, i runęła na podłogę jak kamień. Kiedy już znalazła się na podłodze, stosowała taką sztuczkę, że miękły jej stawy, jakby były z rtęci, i nie dawało się jej dźwignąć. Po daremnych obłapywaniach i postękiwaniach przybyłego syna mama zrywała się na nogi o własnych siłach i natychmiast zaczynała gotować wielki obiad. Mama uwielbiała mdleć. Robiła to z wielką maestrią. Potrzebowała tylko bodźca.

Mama uwielbiała również umierać. Raz albo dwa razy w roku, a zwłaszcza w okolicach Bożego Narodzenia, nadchodziły telegramy z oświadczeniem, że mama znowu umiera. Jednak nie mogliśmy ryzykować możliwości, że choć raz

okaże się to prawdą. Z całego Dalekiego Zachodu pędziliśmy do San Juan, by być przy jej łożu. Przez kilka godzin umierała, a w jej gardle rozlegał się jakby brzęk spodków. Widać było jedynie białka jej wywróconych oczu, wołała nas po imieniu, wkraczając do doliny cieni. Nagle czuła się o wiele lepiej, wyczołgiwała się ze swego łoża śmiertelnego i gotowała nam wielki obiad z ravioli.

Stała przy piecu, plecami do mnie, gdy wszedłem do kuchni i zacząłem cicho się ku niej skradać. W połowie drogi wyczuła moją obecność i odwróciła się powoli, z łopatką w dłoni. Wyglądała, jakby nagle chwyciły ją mdłości, jakby opuszczała swoje ciało, winda jechała w dół bez kontroli, oto przyprawiająca o zawrót głowy chwila przed runięciem z wielkiej wysokości; oczy w słup, krew odpłynęła z pobielającej nagle twarzy, palce omdlały i łopátka upadła na podłogę.

- Johnny! Och, dzięki Bogu!

Rzuciłem się do przodu, a ona padła w moje objęcia, włosy barwy jasnych chmur spoczęły na moim ramieniu, ręce oplotły szyję. Jednak nie straciła przytomności. Wyglądała, jakby miała atak serca. Poznałem to po szybkim chrapliwym oddechu, drżeniu drobnego ciała. Ostrożnie podprowadziłem ją do krzesła przy kuchennym stole. Odchyliła się do tyłu, z otwartymi ustami, uśmiechała się dzielnie, lewa ręka zwisała bezwładnie i widać było, że próbuje ją podnieść, lecz nie ma siły.

- Wody. Wody... proszę.

Przyniosłem szklanke wody i przytknąłem do jej ust. Sączyła płyn ze znużeniem, zbyt osłabła, wyczerpana, tylko sekundy dzieliły ją od drugiego brzegu.



- Moja ręka... bez czucia... ból w piersi... mój chłopcze... dziecko.... nie żyję... nie zobaczę...

Padła twarzą na ceratę w czerwoną kratkę. Byłem przekonany, że wszystko z nią w porządku, ale gdy delikatnie odwróciłem jej twarz i ujrzałem sinofioletowe policzki, poczułem, że tym razem się pomyliłem, i zawołałem głośno ojca.

- Sprowadź lekarza! Szybko! - ryknąłem.

To przywróciło jej siły. Powoli uniosła głowę.

- Już mi lepiej. To był tylko mały atak.

Teraz przyszła moja kolej, by zasłabnąć, poczułem ulgę i ogromne zmęczenie. Klapnąłem na krzesło i próbowałem rozsypać palce, szukając po omacku papierosa. Wszedł tata.

- Co tu się wyprawia?

Mama uśmiechnęła się odważnie. Była taka zadowolona, że ujrzała mnie zrozpaczonego. Teraz nie mogła wątpić w moją miłość. Wróciły jej siły.

- Nic takiego. Zupełnie nic.

Była bardzo szczęśliwa. Mruczała jak kot. Podniosła się i podeszła do mnie, ujęła moją głowę i pogłaskała po włosach.

- Jest zmęczony po podróży. Daj mu szklaneczkę wina.

Zrozumieliśmy, tata i ja. W jego gardle zacharczały prze-kleństwa, ledwie słyszalne, gdy otwierał lodówkę i wyjmował karafkę z winem. Wyjął szklanekę z kredensu i napełnił ją. Mama uśmiechała się, obserwując to wszystko. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Skończ z tym.

Mama otworzyła najszerzej, jak umiała, swoje wielkie zielone oczy.

- Ja?

- Skończ z tym wreszcie.

Wypiłem łyk wina. To było bardzo dobre wino, z ciepłej gleby tutejszych winnic, delikatnie schłodzone. Mama cieszyła się, że ma mnie w swojej kuchni. Widziałem, jak jej kręgosłup się prostuje, ramiona unoszą. Wzięła szklanke z mojej dłoni i osuszyła ją do dna. Potem przyjrzała mi się uważnie.

- Jaka śliczna koszula - powiedziała. - Zanim wyjedziesz, wypiorę ją i wyprasuję.

\*

\*\*

Jedliśmy paprykę z kozim serem, solone jabłka, chleb i wino. Język mamy terkotał bezustannie, ćma uwolniona wreszcie z pułapki. Tata zazwyczaj ją uciszał, ale z okazji powrotu syna wypadało zliberalizować zasady. Za chwilę jej trajkotanie wywoła u niego nagłe rozdrażnienie, więc mama wślizgnie się na powrót w kokon pełnego uszanowania milczenia. Jedliśmy, a mama mówiła i chodziła po kuchni, wypełniając pomieszczenie strzępami myśli. Elektryczny wiatrak pomrukiwał na lodówce, obracając się to w lewo, to w prawo. Wyglądał, jakby podążał za mamą poruszającą się wokół, jak twarz wgąpiona w nią w bezgranicznym zdumieniu.

Mama powiedziała:

Zima była zimna i mokra. Dzieci Stelli są śliczne. W szafie na ubrania są mole. Śniła jej się jej zmarła siostra Katie. Cena za karmę dla kur jest za wysoka. Mój brat Jim, jak był

dzieckiem, jadł ziemię. Czasami dręczą ją rozdzierające bóle w nogach. Pranie pieluch w świetle księżyca przynosi pecha. Jak się coś zgubi, trzeba się pomodlić do świętego Antoniego. Koty zabijają kosa. Bekonu nie należy trzymać na lodzie. Boi się węży. Dach przecieka. Jest nowy listonosz. Jej matka zmarła z powodu gangreny. Lód jest niedobry na żołądek. Ciężarne kobiety nie powinny patrzeć na żaby i jaszczurki. Miłość jest ważniejsza niż pieniądze. Czuje się samotna.

Położyła ręce na moich ramionach.

- Gdybyś pisał choć raz na tydzień...

Mówiła bez przerwy przez pół godziny. Było to uspokajające brzęczenie, które słyszeliśmy, lecz ignorowaliśmy. Skończyliśmy jeść papryczki. Tata napełnił mi szklankę winem.

Wtedy mama powiedziała:

- Zasiałeś ziarno, z którego rośnie twoje dziecko, w tym domu. Właśnie w tym domu. Ósmego sierpnia zeszłego roku, tamtej nocy.

To było jej pierwsze oświadczenie, które tak naprawdę do mnie dotarło. Przerwałem jedzenie i spojrzałem na nią. Wtedy sobie przypomniałem. Joyce i ja rzeczywiście byliśmy w San Juan w sierpniu zeszłego roku. Spaliśmy na rozkładanej kanapie. Bardzo dobrze pamiętałem tę noc. Kanapa straszliwie skrzypiała, więc postanowiliśmy niczego nie próbować. Tej nocy nie nastąpiło zapłodnienie. Mama była w błędzie.

- Ma rację - potwierdził tata.

- Skąd ta pewność?

Mama się uśmiechnęła.

- Bo nasypałam wam soli do łóżka.

Tata wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Właśnie. Sól w łóżku. Ja jej kazałem.

To było naprawdę denerwujące. Triumfowali, przypisując sobie całą zasługę. Powiedziałem, że nie przypominam sobie żadnej soli w łóżku. Mamę to rozbawiło.

- Pewnie, że nie. Nasypałam jej pod prześcieradło.

Tata zachichotał.

- No i teraz będziesz miał dzieciaka.

- Sól - mruknąłem. - Co za brednie.

- Żadne brednie - obruszył się tata. - A ty myślisz, że ni-  
by jak się urodziłeś?

- Normalnie.

- Znowu pudło. Sól w łóżku. Sam nasypałem.

Podsunałem mu szklanke, żeby mi ją znowu napełnił.

- Przesady. Ciemnota.

Nie nalał mi.

- Nie nazywaj mnie ciemnotą. Jestem twoim ojcem.

- Nie powiedziałem, że jesteś ciemny.

- Żądam szacunku dla twego ojca. To dom twego ojca. Tu-  
taj to ja jestem szefem.

Poczerwieniał na twarzy z oburzenia, napełnił szklanke trzęsącymi się rękami i rozlał przy tym trochę wina. Rozlanie wina przynosiło pecha. Można było się przed nim ustrzec, kreśląc znak krzyża na rozlanym płynie. Tak też uczyniła ma-  
ma.

- Twój tata ma rację - powiedziała uspokajająco. - Nie mieliśmy w domu żadnego czosnku tej nocy, więc tata użył soli. To był jego pomysł.

- Czosnku? - Spojrzałem w wielkie zielone oczy mamy. -  
A na cóż czosnek?

- Żeby go włożyć w dziurkę od klucza.

- I to ma niby zapewniać dzieci?

- Nie dzieci - chłopców!

Zamurowało mnie. Tata zaśmiał się szyderczo.

- Patrzcie tylko, nazywa swego tatę ciemnotą. A sam nic nie wie.

Przełknąłem wino i nic nie odpowiedziałem.

- To samo z Tonym i Jimem - dodała mama.

- Czosnek w dziurce od klucza, gdy mieli się urodzić?

- Za każdym razem.

- A Stella?

Ale już znałem jego odpowiedź:

- Ani czosnku, ani soli, ani niczego.

Kłóciłby się, więc siedziałem cicho. Znowu napełnił mi szklankę.

- Mam tylko trzy klasy - mruknął w zadumie. - Ale ty... ty ponoć masz dobre wykształcenie, szkoła średnia, dwa lata college'u, a wciąż dzieciak z ciebie. Wiele jeszcze musisz się nauczyć.

Nie byłem taki ciemny, jak mu się zdawało. Wiele się nauczyłem w tej rodzinie, już we wczesnym dzieciństwie odebrałem różne bezcenne nauki przekazywane z pokolenia na pokolenie przez przodków z Abruzji. Jednak odkryłem, że zdobytą wiedzę na ogół trudno zastosować w praktyce. Na przykład wiedziałem od lat, że sposobem na uniknięcie czarownic jest noszenie szalika z frędzelkami, bo gdy wiedźma zaatakuje, zajmie się liczeniem frędzli i da ci spokój. Wiedziałem również, że krowi mocz jest wprost cudownym środkiem na porost włosów, ale ja dotąd nie miałem okazji sko-

rzystać z tej informacji. Wiedziałem, naturalnie, że lekarstwem na odrę jest czerwony szał, a na chore gardło - czarny. Gdy byłem dzieckiem, kiedy tylko miałem gorączkę, babcia zawsze przyczepiała mi do nadgarstka kawałek cytryny; za każdym razem temperatura spadała. Wiedziałem również, że złe oko powoduje bóle głowy, poza tym babcia wysyłała mnie w czasie deszczu na dwór, bym wbił nóż w ziemię i tym samym ochronił dom przed uderzeniem pioruna. Wiedziałem, że jak się śpi z otwartymi oknami, wszystkie czarownice z okolicy wejdą do domu, ale jeśli musisz mieć do spania świeże powietrze, odrobina pieprzu rozsypana na parapecie przyprawi czarownice o kichanie i je przepędzi. Wiedziałem również, że gdy się odwiedza chorego przyjaciela i chce uniknąć zarażenia, należy napluć na jego drzwi. Wszystkie te rzeczy i wiele innych wiedziałem przez lata i nigdy ich nie zapomniałem. Ale żyjąc, wciąż się uczysz, a czosnkowo-solna kuracja małżeńskiego łóża była dla mnie nowością. Tata miał chyba rację: wcale nie byłem takim znowu mądrałą. Jednak nadal miałem poważne wątpliwości co do tego, że Joyce zaszła w ciążę owej sierpniowej nocy na kanapie w salonie rodziców.

\*  
\*\*

Lunch się skończył. Tata odsunął krzesło.

- Bierz kapelusz.

Nigdy nie nosiłem kapelusza. Chodziło mu o to, żebym po-  
dążył za nim. Zeszliśmy po schodach werandy na ulicę. Po-  
gmerał w skrzynce na listy, wyjął stamtąd niedopałek cygara

i przypalił. Dym zawisł nieruchomo w spokojnym powietrzu, tata musiał przepędzić go dłonią. Żar przepełniał ogromne niebo, błękitne, przestronne, bezkresne. Na wschodzie wznosiły dumne głowy góry Sierra Nevada, od ostatniej zimy wciąż leżał na nich śnieg.

Ulica przed domem świeciła pustkami. Przed dziesięciu laty San Juan było ruchliwym miasteczkiem pełnym magazynów, ważnym ośrodkiem produkcji winogron. Stanowa autostrada przecinała centrum, ale nadeszła wojna, zmieniono trasę autostrady tak, że omijała miasteczko, które zaczęło powoli konać. Teraz autostrada biegła obok pól chmielowych i sadów brzoskwiniowych, a turyści przejeżdżali tędy, nie mając pojęcia, że za sadami jest sześciotysięczne miasteczko.

- Dokąd idziemy?

Bez odpowiedzi ruszył ulicą. Minęliśmy trzy niewielkie domy, a dalej nie było już żadnych budynków, jedynie spękany asfalt z chwastami przebijającymi się przez szczeliny i winnice po obu stronach drogi rozchodzące się na północ i południe, tysiące akrów muskata i Tokaju, morze zielonej ciszy.

- Dokąd idziemy?

Teraz przyspieszyliśmy kroku, aż doszliśmy do miejsca, gdzie droga zakręcała i schodziła ze zbocza. To była ziemia Joego Muto. Rozpoznałem białe oznaczenia na czubku słupków ogrodzeniowych. Byliśmy na skraju winnicy - nieupravianym skrawku ziemi porośniętym bezładnie przez gąszcz dębczaków, mącznicę lekarską i niedobitki z gaju cytrynowego. Wszystko zdziczało, trzy albo cztery akry ziemi, na której z jakichś powodów Joe Muto nie sadił winorośli. Tata stanął przed zieloną gęstwą, wskazał ją cygarem.

- Oto ona.

Zaczął przedzierać się przez chaszczę, a ja ruszyłem za nim. Na samym środku poletka, na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na całą okolicę, przystanął i rozpostarł ramiona.

- Oto ona. Moja wymarzona.

Schylił się i wyrwał kępkę dzikich maków. Czarna, nieustępliwa ziemia przywarła do ich korzonków. Tata zmiądzzył korzenie w swojej pięści, a w ciepłej wilgotnej ziemi odcisnęła się jego ręka.

- Wszystko na niej rośnie. Choćbyś wsadził kij od szczotki, to zakiełkuje.

Pojąłem, o co chodzi.

- Chcesz, żeby była twoja, tato? Chcesz kupić tę ziemię?

- Nie dla siebie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i kopnął grunt. - Dla dzieciaka. Tu będzie żył. Właśnie tutaj. - Znowu kopnął ziemię. - O tym marzę. Ty, panna Joyce i mały chłopczyk. Ja z mamą kawałek drogi dalej. Dużo miejsca. Cztery akry. Dla ciebie. Dla twoich dzieci.

- Ale tatku...

- Żadnych „ale”. Jestem twoim ojcem. Ta cała twoja śmieciarska pisanina. Masz pieniądze?

- Znajdzie się parę dolarów, tato.

- Masz dwa tysiące dolarów?

- Tak.

- Kupuj. Rozmawiałem z Joem Muto. To mój *paisano*. Nie sprzeda nikomu oprócz mnie.

Cóż miałem powiedzieć temu człowiekowi - swemu ojcu? Co miałem mu powiedzieć - prosto w twarz wyniszczoną pra-



cą, o rysach stwardniałych z biegiem lat, która teraz zmiękła pod wpływem marzeń, gdy on w tych marzeniach brodził. Było tam niebieskie niebo i stare drzewa cytrynowe, wysokie chwasty, mrużąc, łąsiły się jak stara miłość do jego nóg; i one już tam były, jego wnuki, oddychały tym powietrzem, tarzały się w trawie, ich kości karmiła ta gleba, tak marzył.

Co miałem powiedzieć temu człowiekowi? Czy mogłem mu wyznać, że kupiłem dom w pogrążonym w chaosie i zepsuciu mieście zwanym Miastem Aniołów, zaraz przy Wilshire Boulevard, parcelę o powierzchni pięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt, na której roiło się od termitów? Przecież gdybym to zrobił, ziemia by mnie pochłonęła, a niebo zmiażdżyło.

- Zastanowię się, tato. Zobaczę, co da się zrobić.

- Teraz pokażę ci jeszcze coś innego.

Powlokłem się za nim z powrotem do drogi, zastanawiając się, jak przekazać swoje nowinki... Bo musiałem mu powiedzieć o domu w Los Angeles. Trzeba to było zrobić już dawno temu. Zresztą wcale nie ukrywałem tego faktu naumyślnie. Po prostu zapomniałem o nim wspomnieć, ni mniej, ni więcej.

Wróciliśmy spacerkiem do domu i czułem jego radość. Zapalił świeżutkie cygaro i zaprowadził mnie do deski kreślarskiej leżącej na beczce pod figowcem. Tu znajdowały się plany domu, który umyślił sobie na tamtym gruncie.

Projekt był piękny. Dom miał być kamienny, z darmowego surowca, który wystarczyło zebrać z pobliskiego pola. W środku domu znajdowały się trzy kominki - jeden w kuchni, jeden w salonie i jeden na dworze. To było długie ranczo w kształcie litery L, parterowy budynek kryty dachówką.

- Postoi z tysiãc lat - zapewnił. - To dwunastocalowe ściany, porządnie wzmocnione stalowymi prętami.

- Dobrze, tato.

- Wybuduję go za darmo. Ty mi pomożesz. Mam emeryturę. Nie chcę nic więcej.

- Tak. Dobrze.

Tak i tak, i tak. Dopóki tylko objaśniał wszystko, do ostatniego kamienia i dźwigara, dopóki był tak bardzo szczęśliwy, ssąc swoje cygare i popijając wino. Potem nadpłynął popołudniowy chłód od zielonego morza winnic, a on nasycił się wreszcie swoim gadaniem. Zwinął w rulon rysunki, zgasił cygare, położył niedopałek w kroczu figowca i wyciągnął się na huśtawce stojącej na trawniku. Wielkie, cudowne ukojenie rozjaśniło mu twarz. Nie było szczęśliwszego człowieka na całej ziemi. Zamknął oczy i zasnął. Gdyby w tej chwili umarł, poszedłby wprost do raju.

Mama ma to do siebie, że cokolwiek byś zrobił, jej to nie rusza. Gdybym wkroczył do kuchni i oświadczył, że właśnie poderznąłem tacie gardło, powiedziałyby:

- To niedobrze. Gdzie on jest?

Zastałem ją przy stole, łuskała groszek. Tak łatwo rozmawiać z mamą, nawet jak czegoś nie rozumie, to w końcu zrozumie. Usiadłem przy niej i opowiedziałem, jak się sprawy mają z domem w Los Angeles. Nie usłyszałem żadnych oskarżeń, nie wzdychała, nie cmokała językiem, nie doradzała, co powinienem zrobić. Łuskała groszek i słuchała spokojnie, gdy

wyjaśniałem, dlaczego przybyłem do San Juan i dlaczego, w obecnych okolicznościach, boję się powiedzieć tacie, że mam już dom.

- Powiem mu. Nic się nie martw.

Ale ja nie chciałem być w pobliżu, kiedy mu powie.

- Przejdę się do miasta - oświadczyłem.

- Nie martw się.

Podniosłem się, by wyjść. Zatrzymała mnie. Coś ją gnębiło.

- Ty i Joyce... Czy śpicie po amerykańsku? - Chodziło jej o to, czy śpimy osobno.

- Tak, teraz, gdy jest w ciąży, tak śpimy.

- Jaka szkoda. Dzidzia nie będzie cię znała.

- Poznamy się, gdy się urodzi.

- Śpicie po włosku. Ty nic nie wiesz o dzidziusiach. Jest taki samotny tam w brzuchu. Jest tam taki samiuteńki. Potrzebuje swego ojca.

Nie chciałem dyskutować tej kwestii z matką.

- Wróć o siódmej. Powiedz tacie o wszystkim, jak tylko się obudzi.

Od centrum miasteczka dzieliło mnie pięć przecznic. Szedłem znajomymi ulicami ocienionymi przez wiązy i mijałem puste parcele, które przemierzałem jeszcze jako czternastolatek. Byłem właśnie w tym wieku, gdy przenieśliśmy się tu, chroniąc się przed śniegiem Kolorado i ciężkimi czasami. Spotkałem po drodze wielu znajomych z dawnych lat i wszyscy oni wiedzieli o dziecku. Mój ojciec przez ostatnie tygodnie roznosił wieści i dotarł wszędzie. Ludzie siedzący na werandach wykrzykiwali życzenia pomyślności, wypytywali

o Joyce, bo pochodziła z San Juan; jej rodzice zostali pochowani na miejscowym cmentarzu. Ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, potrzásali moją dłońią, rzucali sprośne żarciki i odchodzili, zaśmiewając się z zadowoleniem. Ojcostwo robiło w San Juan duże wrażenie. Miałem rzadkie poczucie bycia ważnym. W Los Angeles też się martwili, ale nie o żonę i dziecko, lecz o to, czy masz z czego opłacić rachunki za szpital. Nasi przyjaciele byli raczej zszokowani niż zadowoleni, gdy dowiedzieli się, że Joyce jest w ciąży.

Przez dwie godziny włóczyłem się po mieście. Wypiłem piwo w Tuscany Club i zagrałem w poola z Reedem Walke-rem w Sylvan Oaks. Reed był naczelnikiem poczty, w szkole średniej chodził z Joyce. Dosłownie wszyscy ludzie, których spotkałem, wiedzieli, że spodziewamy się dziecka, nawet Lou Sing z Chinatown w San Juan, na które składało się kilka zniszczonych budynków z cegły. Usiedliśmy przed sklepem zielarskim Lou i ucieliśmy sobie partyjkę szachów, a jego liczne dzieci bawiły się i biegały z wrzaskiem po ulicy. O siódmej wciąż było jasno. Nad markizą San Juan Theater zapaliły się światełka.

Nagle poczułem się przepojony duchem Joyce, zatęskniłem za nią. Sprawilo to miasto, świadomość, że bawiła się na tych ulicach jako mała dziewczynka. Ogarnęło mnie nagłe niejasne pragnienie. Poszedłem do budki i zamówiłem zamiejscową. Powiedziałem, że moja misja się nie powiodła, że postaram się jak najszybciej wrócić do domu. Spytała o miasto, jak wygląda.

- Pamiętasz drzewo pieprzowe na tyłach domu mojej matki? - spytała. - Czy jest tam jeszcze? A może je ścięli?

Powiedziałem, że pójde sprawdzic.

- Moja pierwsza lalka jest pochowana pod tym drzewem. Umarła z powodu ran zadanych nożem, oskalpowana przez Indian.

- Straszna śmierć.

- Cała jej głowa była wgnieciona do środka. Sprawka psa. Ryczałam bez przerwy.

Odwiesiłem słuchawkę i ruszyłem Lincoln Street do miejsca, gdzie Joyce mieszkała w dzieciństwie. Dom został wyburzony przed wielu laty, a miasto przeznaczyło sam teren na parking dla buldożerów, spychaczy i innego sprzętu służącego do robót drogowych. Drzewo pieprzowe wciąż tam rosło. Stanąłem pod nim, dotknąłem pnia. Bardzo zatęskniłem za swoją żoną. Po korze pełzały mrówki. Wziąłem dwie z nich, małe czerwone, włożyłem do ust, przeżułem i połknąłem. Potem ruszyłem z powrotem do domu.

\*

\*\*

Taty nie było. Stół w kuchni został nakryty na trzy osoby. Mama siedziała przy oknie i odmawiała różaniec. Do pokoju zakradł się zmierzch. Mama uśmiechnęła się w milczeniu, dając mi w ten sposób znak, że rozmawiała z ojcem. Zaczekałem, aż skończy przebierać palcami koraliki. Na kuchni grzał się obiad: wątróbka na bekonie, groszek gotowany z cebulką, szpinak z serem. Spróbowałem wszystkiego, wypilem szklaneczkę wina i czekałem. Mama odmówiła modlitwę przy ostatnim koraliku, ucałowała krzyżyk, po czym włożyła różaniec do kieszeni fartucha.

- Co powiedział?
- Nic. Ani słowa. Po prostu sobie poszedł.
- Gdzie on jest?

Mama przewróciła oczami i potrząsnęła głową. Tata był w mieście, zalewał robaka.

- Nie mam do niego żalu, mamó.
- Wziął dziesięć dolarów.
- No i co z tego?
- Będzie pił brandy. Wyda wszystko.
- Dobrze. Należy mu się.
- Och, ja tam się nie martwię. Odmówiłam różaniec. Nic mu nie będzie. Ale wyda dziesięć dolarów.

Wyjąłem portfel i wręczyłem jej pięć nowiutkich dwudziestodolarówek.

- Nie mogę tego przyjąć - wzbraniała się. - Będziecie potrzebowali na dziecko. - Zwinęła banknoty i włożyła za bluzkę. - Naprawdę nie powinnam tego przyjmować. Nie wiem, co mnie napadło.

Oczywiście wiedziałem, co się stanie z tą stową. Zaraz po moim wyjeździe mama wyśle ją przekazem do mojego brata Jima, któremu ciężko się żyło w Susanville.

Podawała mi obiad. Miała mnie samego, wyłącznie dla siebie, więc przygotowałem się na to, co, jak przeczuwałem, miało zaraz nastąpić. I rzeczywiście, przypuściła na mnie atak, ten matczyny atak, wobec którego jest się kompletnie bezbronny. Stanęła za mną i dotknęła moich włosów. Pogłaskała mnie po uszach. Jej ręce opadły na moje ramiona, dłonie pocierały mnie po torsie. Sięgałem wciąż po coś, by się wyswobodzić z kolejnego nowego uścisku. Wreszcie ujęła mnie za

lewą rękę i zaczęła przebierać moimi palcami. Próbowałem wyszarpnąć delikatnie dłoń, ale jej nie puściła, całowała każdy mój palec. Poczułem wielką litość do niej, i w ogóle do wszystkich kobiet trawionych tą wielką matczyną namiętnością. Tymczasem ona znalazła mały ślad na mojej szyi, gdzie zadrapał mnie kot, gdy byłem jeszcze chłopcem, co na nowo uświadomiło jej własną samotność, więc pobiegła do skrzyni w sypialni, a ja wiedziałem, czego się spodziewać - swojego zdjęcia w wieku sześciu miesięcy, na którym wybałuszałem oczy, leżąc na golasa na obitym aksamitem podwyższeniu. Zerwałem się od stołu.

- Mamo, proszę. Tylko nie to, na litość boską!

Odłożyła zdjęcie i zaczęła sprzątać ze stołu. Ja piłem wino, spozierałem na zegar na kuchni i czytałem „Sacramento Bee”. Mama wzięła durszlak z resztkami i wyniosła kurom na podwórze. Wkrótce wróciła z trzema jajkami. Wybrała jedno z nich i przyniosła mi na stół.

- Dotknij. Jest ciepłutkie, prosto od kokoszki.

Nie chciałem go dotykać. Ciepłe czy zimne, nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

- Poczuj, jakie jest miłe i ciepłe w dotyku.

Nie dotknąłem go. Tylko się na nie gapiłem. Jajo też się we mnie wpatrywało jak białe owalne oko, melancholijne i głupie.

- Są zdrowe. Jedz ich dużo.

- Zabierz je. Połóż je gdzie indziej.

Czas płynął. Spozierałem na zegar i nasłuchiwałem kroków na podwórzu. Dobrze było zobaczyć znowu rodziców, ale teraz chciałem już wyjechać. Chociaż miałem rezerwację

w samolocie na następny dzień i bilet dla taty, postanowiłem wyjechać jeszcze tego wieczoru. Unieszczęśliwiłem tatę. Najlepiej będzie, jak wyjadę i pozwolę, by czas i odległość zaleczyły jego rany.

Po południu mama rozpakowała moją torbę podróżną. Teraz rozpoczęła kolejny przegląd jej zawartości. Chciała wiedzieć, ile co kosztowało. Wziąłem ze sobą zapasowe spodnie. Wyjęła je z szafy i rozłożyła na stole. Obejrzała uważnie mankiety, siedzenie, zamek błyskawiczny. Na przodzie widniała plama od jedzenia. Odkrywszy ją, mama wykrzyknęła:

- A cóż ty tu masz?
- Nie przejmuj się, mamó. Odłóż to.

Rozłożyła spodnie na stole i zaczęło się przedstawienie. Przyniosła ściereczkę, mydło i wodę i zabrała się do wywabiania plamy.

- Ciekawe, od czego to jest - mruknęła.
- Proszę, mamó. Zostaw to.
- Nie schodzi.

Kontynuowała dociekania. Zerwałem się z krzesła i odebrałem jej spodnie.

- Oddam je do pralni.
- To kosztuje.
- Nieważne.
- Czy Joyce nie dba o twoją garderobę?
- Ależ tak.
- „Oddam do pralni” - to w amerykańskim stylu.

Wyszedłem na frontową werandę i usiadłem tam w księżycowej poświacie. Gwiazdy unosiły się nisko i spokojnie. Trzydzieści mil na wschód lśniły śniegi gór Sierra Nevada,



gwiazdny pył, odległy i samotny. Samolot pasażerski z war-  
kotem przeciął niebo, pobłyskiwały zielone i czerwone świa-  
tełka. Tęskniłem za żoną i martwiłem się o ojca. Dochodziła  
dziesiąta. O dwunastej w nocy był samolot z Sacramento na  
Południe. Podjąłem decyzję: znajdę tatę, przyprowadzę go do  
domu i polecę tym samolotem.

Wtedy nadjechał z klekotem jakiś samochód ze słabymi  
światłami. Był to stary ford Joego Muto. Joe siedział za kie-  
rownicą. Podjechał przed dom od frontu. Podeszedłem do pło-  
tu i przywitaliśmy się.

- Szukasz ojca? - spytał.

- Widziałeś go?

- Na mojej ziemi. Teraz. Myślę, że ma wypite.

Wdrapałem się do ciężarówki, a on zawrócił. Jechaliśmy,  
podskakując, po wyboistej drodze, którą po południu prze-  
mierzyliśmy wraz z ojcem.

- Tam go słyhać - powiedział Joe. - Źle z nim.

Zjechaliśmy z pagórka, gdzie droga skręcała w lewo, aż  
wreszcie dotarliśmy na nieużytek. Joe zatrzymał samochód,  
a ja z niego wyskoczyłem. W świetle księżyca było wszystko  
widać. Gromada żab ryczących i świerszczy wypełniała po-  
wietrze zalotnymi nawoływaniem. Wtedy dostrzegłem ojca.  
Siedział pod jednym ze starych drzew cytrynowych z butel-  
ką w ręku. Jeśli nawet zauważył moją obecność, nie zwracał  
na mnie uwagi. Joe Muto został w samochodzie, a ja ruszy-  
łem przed siebie przez szemrzące chaszczce.

Ojciec mówił sam do siebie.

- Nie martw się o swego dziadka. Wcale nie jest taki  
stary, jak myślą. Będziesz miał swój dom, chłopaczku. Twój

dziadek jeszcze nie umarł. Wszyscy próbują go ukatrupić, ale twój dziadek jeszcze nie odłożył łyżki.

Zacisnąłem zęby, by powstrzymać ból.

- Tato.

Ujrzał mnie tuż przed sobą i rzucił butelkę w zarośla. Potem odwrócił głowę do drzewa i zaszczołał gorzko. Nie mogłem do niego podejść. Joe zawołał z samochodu, pytając, czy wszystko w porządku. Przebrnąłem przez zielska z powrotem do drogi.

- Nic mu nie jest. Odprowadzę go do domu.

- Pokłóciłeś się ze swoim staruszkiem?

- Jedź już. Nie pokłóciłem się. Dziękuję.

Odjechał. Usiadłem przy drodze, by zaczekać, zapaliłem papierosa. Byłem bezradny. Po jakichś dwudziestu minutach ojciec z mozołem przedarł się przez chaszczę. Wiedział, że tam jestem. Wcale się nie zdziwił, że mnie widzi.

- Chodźmy do domu - powiedział.

Był trzeźwy, wzdychał ciężko, człapiąc drogą. Szliśmy ramię w ramię w milczeniu. Noc była ciepła i słodka. Na północy jarzyła się wielka złota kopała stolicy stanu. Otaczała ją czerwonawa mgiełka utworzona przez światła miasta.

- Jak się czujesz, tato?

- Ja? Przywykłem do tego. Pewnego dnia będziesz stary i będziesz miał synów - za jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Wspomnisz, co twój tata powiedział tego wieczoru: ranią cię za każdym razem.

- To niedobrze.

Przez jakiś czas milczał. Zbliżaliśmy się już do domu. Paliła się lampa, oświetlała frontową werandę. Mogliśmy

dostrzec mamę, która wyglądała nas, owinąwszy ramionaszalem.

- Co te termity robią u ciebie? - spytał tata.

- No wiesz, jak to termity.

- Nie zrobiłeś inspekcji domu, zanim go kupiłeś?

Opowiedziałem mu o tym.

- Pojedziesz, tato? Mógłbyś nam pomóc. Mam dla ciebie bilet na samolot.

- Samolot to nie dla mnie, mój panie.

- Ale pojedziesz, tato? Może być pociągiem.

- Pociąg tak. Samolot nie.

- Świetnie, tato. Wspaniale.

A więc jechał, by naprawić mój dom. Chciałem, by mama też pojechała, ale oświadczyła, że musi zostać w domu i opiekować się kotami i kurami. Była naprawdę zadowolona, bo pociągi budziły w niej przerażenie. Podróżowała koleją tylko raz w życiu. Było to latem 1912, trzydziestopięciomilowa wycieczka w trakcie miodowego miesiąca, z Denver do Colorado Springs. Nasza rodzina nie przyjechała do Kalifornii pociągiem. Wpakowaliśmy wszystko, co się dało, na ciężarówkę taty i tłukliśmy się Highway 40, aż wreszcie dotarliśmy do San Juan.

Jednak mój ojciec był doświadczonym podróżnikiem kolejowym. Jeszcze w 1910 przybył do Kolorado z Nowego Jorku w wagonie towarowym. Nie był to zresztą koniec jego podróży pociągiem. Trzy lata później samotnie wsiadł do wąskoto-

rówki i przebył dystans z Denver do Boulder, całe trzydzieści mil. Kontynuując te doświadczenia, jako nowożeniec odbył z mamą przejażdżkę do Colorado Springs. Z takim przygotowaniem nie przejawiał krztyny lęku przed pociągami. Teraz dość często - trzy albo cztery razy do roku - telepał się lokalną kolejką do stolicy stanu i z powrotem. Tak więc pociągi były mu niestraszne, choćby nie wiem co.

Pociąg do Los Angeles - West Coaster - wyjeżdżał z Sacramento codziennie o szóstej po południu. Przy śniadaniu postanowiliśmy, że nim pojedziemy. Pożyczyłem samochód szwagra i pojechałem do Sacramento, by wszystko załatwić. Odwołałem rezerwację na samolot i wykupiłem miejscówki na pociąg. Było trudno o miejsca, ale udało mi się zdobyć przedział w wagonie pulmanowskim. Chciałem, by starszukowi było wygodnie, więc dopilnowałem, by miał kuszetkę na dole.

Na godzinę przed odjazdem pociągu wróciłem do San Juan. Zostałem tam Stellę z dziećmi i Steve'em, jej mężem. Tata był już wyszykowany do drogi. Miał na sobie dziwaczny przyodziewek: niebieskie ogrodniczki, czarną koszulę uwieńczoną białym krawatem i brązową dwurzędową marynarkę. Rozpoznałem w niej część garnituru, który podarowałem mu przed rokiem. Prawdę mówiąc, tata posiadał rozliczne garnitury i palta po swoich synach, bo mieliśmy te same gabaryty. Bez wątplenia znalazłoby się w jego szafie cztery albo pięć garniturów, z których każdy nadawał się na podróż.

- Dlaczego ogrodniczki? - spytałem.

Spojrzał na siebie.

- Coś z nimi nie tak?

- Nie masz spodni z kompletu do tej marynarki?

- Nie lubię ich.

Siedział przy kuchennym stole, twarz miał świeżo ogoloną i wytalkowaną, włosy starannie rozdzielone przedziałkiem. Jego byczy kark objęty kołnierzykiem czarnej koszuli wyglądał na obrzmiały z powodu ucisku białego krawata. Jednak mimo wszystko miał ów szczególnie wygląd człowieka wyruszającego w długą podróż.

- Uparł się - powiedziała Stella. - Nie chce wyglądać ładnie i czysto.

- Jestem czysty. Wszystko, co mam na sobie, jest czyste, świeżo wyprane.

- Ale ogrodniczki?! Do pociągu?

- Jeździłem pociągami, jak ciebie jeszcze na świecie nie było. Więc nie mów nic swojemu tacie o pociągach.

- Po co zaraz ubierać się na drogę jak stary murarz?

- Co jest złego w kładzeniu cegieł?

- A może ten szary garnitur? - zasugerowałem. - Mogłoby ci być w nim chłodniej w pociągu.

Zerwał się na równe nogi z poczerwieniałą ze złości twarzą.

- Chcesz, bym z tobą pojechał? Żeby ci pomógł przy domu?

Oczywiście, że chciałem.

- Więc nie mów mi, w co mam się ubrać. Nie taki znowu z ciebie mądrała i nie zapominaj o tym. Kupić dom z temutami!

To zamknęło kwestię stroju. Nie chciałem, by się wycofał.

Jego bagaż leżał na kupce przy drzwiach, dwie upstrzone farbą walizki ze sztucznej skóry przewiązane sznurem do

bielizny i brezentowa torba z narzędziami. Tymczasem mama nie brała udziału w dyskusji, zajęta pakowaniem pudła, w którym kiedyś było mleko w puszkach. Podeszedłem zobaczyć, co ona tam wyprawia. Pakowała mi jedzenie do Los Angeles. W pudle znalazły się cztery kwarty domowych przetworów z pomidorów i cztery kwarty dżemu figowego. Była tam też gomółka koziego sera i świeże ciasto czekoladowe.

- W Los Angeles nie mają dobrych ciast - oświadczyła.

Nie miałem pojęcia, skąd zdobyła tę informację, ale nic nie powiedziałem.

Teraz z kolei pokazała mi bukiet bazylii, wprost ze swego warzywnika, i przewiązała go czerwoną wstążeczką, z której zwisały dwa ołowiane medaliki z Najświętszą Panienką.

- To żeby dziecko urodziło się zdrowe. Każdej nocy wieszaj to w nogach łóżka.

Zapewniłem, że tak właśnie będę robił.

Tata podeszedł z kłębkim sznura do bielizny i zaczął obwiązywać karton. Mama odciągnęła mnie do zlewu, by szepnąć mi słówko. Otworzyła szufladę wypełnioną przyprawami i wyjęła stamtąd główkę czosnku. Paznokciem obnażyła biały ząbek. Potem ucałowała go i wsunęła do kieszonki na pierś w mojej marynarce.

- Trzymaj zawsze trochę tego w kieszeni, dniem i nocą. Nigdy nie chodź bez tego.

- Wiem. To przynosi chłopców.

Uśmiechnęła się wyrozumiale i wzruszyła ramionami.

- Mnie tam wszystko jedno. Chłopiec czy dziewczynka, to będzie moje wnuczę. Będę je kochała tak samo. Ale twój tata chce chłopca. To żeby go zadowolić, ten czosnek.

Ostry zapach czosnku uderzył mnie w nozdrza i wiedziałem, że będę musiał szybko wyrzucić ten ząbek, bo inaczej całe ubranie mi zaśmierdnie. Trzeba było już jechać. Steve i tata zanieśli bagaże do samochodu. Wyraźnie słyszałem bul-bul butelek z winem w jednym z pakunków. Mama nie zauważyła, jak wyjąłem czosnek z kieszeni i cisnąłem w żywopłot z winorośli. Poszła ze mną do samochodu. Z powodu dzieci ona i Stella niejechały z nami na stację.

Tata ucałował dwie małe dziewczynki, a następnie mamę i uronił parę łez, napominając ją, żeby wkładała odrobinę pietruszki do jedzenia dla kotów, jak będzie gorąco. Mama była dzielna i powstrzymała się od omdlenia, gdy objęliśmy się i ucałowaliśmy na pożegnanie. Steve zawrócił samochód i nacisnął klakson, podczas gdy my machaliśmy, i wtedy mama zemdliała. Osunęła się zgrabnie na drogę przy płocie, gdy samochód odjeżdżał. Stella stała przy niej, zupełnie niewzruszona, i machała do nas, podczas gdy mama wyglądała na całkiem nieprzytomną, z głową na piersi, jej dłoń walczyła dzielnie, by nam pomachać, aż wreszcie zaryła w piachu. Powinniśmy się zatrzymać, by ją ocucić, ale robiło się późno, a tata nie mógł się doczekać, kiedy wejdzie w kontakt z policjantem.

- Nic jej nie jest - zapewnił. - Jedziemy.

Skręciliśmy za róg i opony potoczyły się gładko po dobrej autostradzie do Sacramento. Westchnąłem z ulgą i sięgnąłem po papierosa. Moje palce natrafiły w kieszeni na coś ciepłego i lepkiego. Wyjąłem ząbek czosnku. Leżał na mojej dłoni, nagi, biały i zajadły. Wyrzuciłbym go, ale tata też na niego patrzył.

- Dobrze - powiedział. - Teraz to rozumiem. Ja też mam swój.

Wyjął portmonetkę z wieloma przegródkami. W jednej z nich leżał ząbek czosnku. Mój szwagier też go zauważył.

- To nie działa - prychnął Steve. - Stella i ja już to wypróbowaliśmy, i to dwa razy.



# 3

To BYŁA MOJA pierwsza podróż pociągiem z tatą i okazała się koszmarem. Kłopoty zaczęły się, gdy tylko pożegnaliśmy się ze Steve'em i weszliśmy na dworzec. Mieliśmy pięć sztuk bagażu: płócienną torbę z narzędziami, dwie dziadowskie walizki, karton z przetworami domowymi obwiązany sznurkiem i moją małą torbę podróżną. Już sam wór z narzędziami ważył z pięćdziesiąt funtów, bo był wyładowany dłutami, młotkami i innym żelastwem używanym w budownictwie. Trzech bagażowych zauważyło, że uginamy się pod tym ciężarem, i pospieszyło nam z pomocą. Wyjąłem nasze bilety, a jeden z bagażowych zaczął wypisywać kwity. Tatę zatkało.

- Co się dzieje? Czego oni chcą?
- Zaniesie nasze rzeczy do wagonu.
- Płaci się za to? Ile?

Pięćdziesiąt centów nie wydawało się ceną zbyt wygórowaną.

- Zwariowałeś? Sam to zrobię, za darmo.
- Posłuchaj, tato. Tak się robi. Do pociągu jest kawał drogi.

Nie chciał się zgodzić. Kazał bagażowemu odejść.

- W tej czarnej mam dwa baniaczki wina. Jeszcze mi stłucze.

- Będę bardzo ostrożny, proszę pana - zapewnił bagażowy.

- Nie ma mowy.

- Tato, proszę. Pozwól mu przynajmniej przenieść ten wór z narzędziami.

- Jest w nim kielnia, która ma czterdzieści lat. Te narzędzia kosztowały mnie dwieście dolarów.

- Jak pan sobie życzy - powiedział z uśmiechem bagażowy.

Podziękowałem mu.

- Damy sobie radę - dodałem. - Proszę.

Rzuciłem mu ćwierćdolarówkę. Chwycił ją w locie, wyszczerzył zęby w uśmiechu i odszedł. Tata zamrugnął oczami z niedowierzania.

- Dałeś mu pieniądze? Niby za co?

- On też musi jeść.

Tata rzucił się pędem za bagażowym, wrzeszcząc, by wrócił, hej, ty, wracaj no! Bagażowy zawrócił, przestraszony i uśmiechnięty. Tata wskazał na nasze klamoty.

- Zabieraj je, wszystkie oprócz tej - zakomenderował. Potrząsnął jedną z obwiązanych sznurkiem walizek, usłyszał niski gul-gul śmiech butli z winem i wyglądał na zadowolonego. Bagażowy wypisał kwity na pozostałe pakunki, po czym włożył je na swój wózek. Tata nadzorował całą tę operację.

- Nie zgub no tylko tych narzędzi. Mam tam poziomnicę, która kosztowała mnie dwadzieścia dolarów.

- Będę ostrożny, proszę pana.

Tata najwyraźniej w to powątpiewał.

- Miałem kłopoty z tymi facetami, jak wyjechałem z Nowego Jorku - powiedział.

Zeszliśmy do przejścia podziemnego i włączyliśmy się w nurt pasażerów płynących w stronę pociągów. Szliśmy nieśpiesznie, bo zostało nam jeszcze dziesięć minut do odjazdu West Coastera. Nagle nadbiegło z tupotem sześciu marynarzy, którzy pędzili, by zdążyć na San Francisco Limited. Ich zdenerwowanie udzieliło się innym i wielu pasażerów, którzy przedtem szli, zaczęło teraz biec. Jednym z nich był tata. Wymachując walizą, tupał ciężko po peronie, wołając do mnie, żebym się pospieszył. Wydłużyłem krok, ale nie mogłem za nim nadążyć. Z daleka zobaczyłem, że dopadł do naszego pociągu i próbuje wsiąść pierwszymi otwartymi drzwiami. Kierownik pociągu nie wpuścił go. Gdy nadszedłem, kłócili się już na dobre, kolejarz upierał się, że to nie nasz wagon, tata zaś równie zaciekle dowodził, że to bez znaczenia. Nasz wagon miał numer 21 i był na końcu składu. Gdy tam maszerowaliśmy, tata bez przerwy gderał pod nosem na głupotę kierowników pociągu, ubolewając, że wszystko się zmieniło od czasu jego podróży z Nowego Jorku, i to na gorsze.

- Wagon dwudziesty pierwszy. Wagon dwudziesty ósmy. Co za różnica? Przecież to ten sam pociąg, co jedzie do Los Angeles.

Próbowałem mu coś tłumaczyć, ale przerwał mi brutalnie.

- Synu, jeździłem pociągami, jak ciebie jeszcze nie było na świecie. Zanim poznałem twoją matkę. I ty będziesz mi tu mówił o pociągach?

Wsiedliśmy do wagonu numer 21. Bagażowy zjawił się w tym samym momencie, pot spływał po jego brązowej twa-

rzy, gdy zmagał się z torbą z narzędziami. Tata rozsiadł się i zapalił cygaro. Natychmiast nadszedł facet z obsługi wagonu i powiedział, że palić wolno tylko w męskiej umywalni. Tata zrobił gniewną minę i zgasił cygaro.

- Co to w ogóle za pociąg? - burknął.

- Męska umywalnia znajduje się na końcu wagonu - poinformował steward. Miał dobrze po sześćdziesiątce, białe włosy i dużo zmarszczek wokół oczu. Bagażowy wrócił z resztą maneli. Otarł pot z twarzy, wywiesiwszy język.

- Powinieneś się czegoś napić - zauważył tata.

- Nigdy nie odmawiaj napitku - zaśmiał się bagażowy.

Tata szybko odwiązał sznur z czarnej walizki i otworzył ją szeroko. Leżały tam dwa galony claretu owinięte w ręczniki. Był też jakiś wypchany worek. Zajrzałem do niego. Zawierał dwa bochenki okrągłego chleba domowego wypieku i gomółkę koziego sera wielkości piłki futbolowej. Na dnie worka spoczywało na stopę długie salami oraz mnóstwo jabłek i pomarańczy.

- Po co to wszystko?

- Człowiek musi jeść - warknął.

Bagażowy ryknął śmiechem.

- Zgadza się. W pociągu trzeba mieć wałówkę.

Tacie się to spodobało. Z tego bagażowego był właściwie całkiem niezły gość. Staruszek wyszczerzył zęby w uśmiechu, a twarz mu spurpurowiała, gdy próbował zdjąć nakrętkę z butli z winem.

- Już cię gdzieś widziałem - powiedział. - Nosileś kiedyś cegły w Denver, w Kolorado, w dwudziestym drugim albo trzecim?

Bagażowy był zachwycony.

- O nie, proszę pana! Nadaję się tylko do targania bagażu.

Tata zdjął wreszcie zakrętkę z butli. Gdy podawał ją bagażowemu, ręcznik się zsunął i butla nagle wyłoniła się w całej krasie, ciemnoczerwona i zadziwiająca, jak bomba. Bagażowy się przeraził.

- Może lepiej będzie, jak pójdziemy do palarni - zaproponował.

Tata poszedł za nim na koniec wagonu, trzymając butlę w objęciach jak niemowlę, po czym wskoczyli do męskiej umywalni. Wagon numer 21 raptownie się zapełniał. Ludzie w przejściu krzywili się na widok otwartej walizki, kartonu obwiązanego sznurkiem i torby z narzędziami poplamionej zaprawą murarską. Nie dziwota: cały ten majdan odbierał splendor wagonowi numer 21, więc towarzystwo doprawdy miało powody do niezadowolenia. Słyszałem, jak w męskiej umywalni bagażowy ryczy wciąż ze śmiechu. Zamknąłem walizkę i postanowiłem również udać się na koniec wagonu.

Bagażowy przedstawiał właśnie tatę naszemu stewardowi.

- Spędzicie panowie ze sobą wiele czasu. Panie Randolph, pozwoli pan, że przedstawię mu swego dobrego przyjaciela, pana Fantego.

Tata uścisnął dłoń stewarda.

- Randolph? - spytał. - Randolph? Czy nosił pan kiedy cegły, panie Randolph? Może w Boulder, w Kolorado, w tysiąc dziewięćset szesnastym albo siedemnastym?

- Tysiąc dziewięćset siedemnastym? Nie, proszę pana. Ale miałem kuzyna. I on rzeczywiście nosił cegły. W Montgomery, w Alabamie. Dawno temu.

- To ten - powiedział tata. - Tak myślałem.

Bagażowy znowu zarechotał. Pan Randolph pił długo i fachowo z butli, przechylając ją podniesionym łokciem. Cmoknął wargami i podał butlę tacie, który namiętnie się do niej przypiął. Potem przekazał ją bagażowemu.

- Panie Randolph - zaczął tata - kłopot z białymi ludźmi w tym kraju jest taki, że...

Jednak nie dokończył, bo ja miałem już dość tych błazeństw. Można się napić z kumplem, ale na wszystko jest czas i miejsce, a staruszek odziany w ogrodniczki robił z siebie widowisko, hulając po wagonie z butlą wina, którym raczył personel kolejowy. Uznałem, że mocno przesadził. Poza tym nie musiał paradować w tych ogrodniczkach.

Zaciągnąłem go z powrotem do naszego przedziału, podczas gdy pociąg zaczął wyjeżdżać z Sacramento. Staruszek był upokorzony i milkliwy. Schował jeden galon z powrotem do walizy, ale drugi trzymał w pogotowiu pod siedzeniem. Już wszyscy obecni w wagonie, dobrze ubrani mężczyźni i kobiety, zdążyli zauważyć czerwoną butlę, która pojawiała się, gdy staruszek z niej pociągał.

- Ach, te dzieci... - burczał. - Nienawidzą swego ojca... Wstydzą się własnej rodziny... Lepiej umrzeć. Zakopią cię. Zapomną... Harowałem przez całe życie. A teraz własny syn mi ubliża... Mogę odejść w każdej chwili. Ja swoje zrobiłem... Jak jesteś stary, wyrzucają cię na bruk...

Jego głos niósł się daleko. Mówił wystarczająco donośnie, by dotrzeć do większości uszu. Czułem, że budzę powszechną niechęć, pasażerowie odwracali głowy, posyłali mi zgorzzone spojrzenia, litowali się nad moim staruszką. Pan

Randolph nie polepszył sprawy. Okazał wzruszającą troskę, przynosząc tacie poduszkę, uśmiechnął się przy tym czule i spytał, jak tata sobie radzi.

- Proszę się nie przejmować, panie Fante. Życzę panu przyjemnej podróży. Jak tylko czegoś będzie panu potrzeba, proszę dzwonić. Ma pan przyjaciół w tym pociągu. Wielu przyjaciół.

Oczy taty zaszczyły łzami.

- Staram się, jak mogę, panie Randolph. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotów. W tym pociągu jest wielu miłych ludzi. Eleganckie panie i panowie. Naprawdę się staram.

Przygryzałem paznokcie i siedziałem cicho. Przez wagon przemaszerował kelner, obwieszczając dzwonkiem kolację. Myśl o niej pokrzepiła mnie. Poklepałem tatę po ramieniu.

- Chodź, tato, zjemy dobrą kolację.

- Nic mi nie trzeba, synu. Ty idź. Nie chcę ci sprawiać więcej kłopotów. Mam tutaj swoją kolację. Próbuję zaoszczędzić dla ciebie trochę pieniędzy.

Jedno było pewne: nie chciałem na kolację salami, koziego sera, chleba i wina. Wcześniej moje myśli krążyły wokół dwóch wytrawnych martini, steku i sałatki. Teraz chciałem wypić tylko filiżankę czarnej kawy, a przede wszystkim wyjść na trochę z tego wagonu. Kilkanaście par zimnych oczu wpa-trywało się we mnie, gdy szedłem niezdarnie korytarzem do restauracyjnego, który był cztery wagony dalej.

Odległość zdziałała cuda. Wrócił mi apetyt. Wypiłem dwa Manhattany i zjadłem mały stek. Zanim pociąg wyjechał ze Stockton, czułem się dobrze, popijając drugą filiżankę kawy. Zapadła ciemność. Jedno za drugim przelatywały za oknem

miasteczka z Doliny San Joaquin, każde z nich upstrzone świeżełkami jak biżuterią. Kierownik wagonu restauracyjnego przyniósł mi rachunek. Sięgnąłem po portmonetkę i pośród monet znalazłem coś białego i miękkiego. Kolejny ząbek czosnku. Wydzielał jakąś dziką woń, wyrazistą i zjadliwą. Wrzuciłem go do szklanki z wodą.

Gdy wstałem z zamiarem wyjścia, w wagonie zjawił się konduktor, który sprawdzał bilety. Obejrzał mój.

- Ach, to pan jest synem tego starszego człowieka.

- Nie chciałem kolacji - wyrwało mi się. - To znaczy miałem kolację ze sobą.

Konduktor zacisnął usta i uchylił się od odpowiedzi. Oddał końcówki biletów i zwrócił mi je. Jego oczy były zimne jak ostrzygi.

- Czuj ojca swego i matkę swoją - powiedział.

- Nie lubię koziego sera.

Wykrzywił wargi. Nienawidził mnie.

Tymczasem w wagonie numer 21 ojciec wyciskał ludziom łzy. Gdy przyszedłem, pokrzepiał się właśnie prostym posiłkiem, złożonym z chleba, sera i salami, który popijał od czasu do czasu winem. Jadł z afektowaną delikatnością, istny dżentelmen przy stole. Scyzoryk leżał otwarty na jego kolanach, a jedzenie zostało rozłożone na siedzeniu naprzeciwko. Pan Randolph dostarczył ojcu serwetkę, a teraz sterczał w przejściu, słuchając z zamglonymi oczami opowieści taty. Ten zaś mówił o ciężkich, gorzkich dniach swej młodości w Abruzji, o tym, jak zaczął pracować w wieku dziesięciu lat, oddany do terminu do okrutnego kamieniarza, który okradał go z jego płacy wynoszącej trzy centy dziennie, o tym, jak



matka przychodziła do niego do pracy i pomagała dźwigać wielkie kamienie po drabinie na rusztowanie w posiadłości księcia Abruzji. To była tragiczna historia, a w dodatku prawdziwa, bo słyszałem ją już wielokrotnie, na dobrą sprawę wychowałem się na tej opowieści o wieśniaczej niedoli, która zamieniała ludziom krew w łzy. Ci, którzy siedzieli w pobliżu ojca w wagonie numer 21, byli głęboko poruszeni słowami tego prostego starego człowieka, który zadowalał się odrobiną chleba, sera i salami, podczas gdy jego syn opychał się drogim żarciem.

Usiadłem obok ojca, skuliłem ramiona i żałowałem, że nie noszę kapelusza, którym mógłbym zakryć twarz. Pokorny głos taty, obecnie przepojony wdzięcznością, docierał do pana Randolpha i wszystkich obecnych.

- Jednak Bóg Wszechmogący był dla mnie dobry. Jestem obywatelem amerykańskim. I to już od dwudziestu pięciu lat. Mam czwórkę udanych dzieci. Wychowałem je i rozesłałem po naszym wspaniałym kraju. 'downe miejsce, ta nasza Ameryka. Była dobra dla nas wszystkich. Niechaj Bóg błogosławi Stany Zjednoczone Ameryki.

Potężny mężczyzna w tweedach siedzący po drugiej stronie przejścia pochylił się teraz ku niemu i poczęstował go cygarem. To było drogie cygaro, w opakowaniu przypominającym pocisk. Tata przyjął je z prostotą i godnością, kłaniając się w pas.

- Dziękuję panu. Zachowam je do chwili narodzin wnuka. Jest zbyt dobre, by wypalić je teraz.

To było doprawdy wzruszające. Jegomość w tweedach spojrział na swoją postawną blond żonę, jej pierś falowała,

a na twarzy rozlała się czułość. Szepnęła coś mężowi, a ten wyjął drugie cygaro. Tata wzbraniał się przed przyjęciem - za dużo, za dużo! - ale wreszcie pozwolił sobie je wcisnąć. Pan Randolph zachęcił tatę, by wrócił do umywalni i nacieszył się swym prezentem, a ten przystał na to. Ostrożnie odłożył chleb, zawinał salami w ściereczkę i włożył kozi ser do woreczka. Nie uronił przy tym ani okruszka. Zamknął walizkę i podniósł się z miejsca. Był wstawiony, ale trzeba było doświadczonego synowskiego oka, by to zauważyć. Pan Randolph towarzyszył mu w przejściu. Wszyscy odwracali głowy, by na niego popatrzeć. Zostawiał za sobą smugę miłości.

¥

Oparłem się o okno i patrzyłem przed siebie. Byłem bardzo samotny i pozbawiony przyjaciół. Nieobecność taty wywołała wyraźnie wyczuwalną lukę. Pociąg z turkotem gnał przed siebie. Jegomość w tweedach i jego żona wstali, by udać się do wagonu restauracyjnego. On nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem, za to: ^żona popatrzyła na mnie z góry z rozszerzonymi nozdi.. Wrócił pan Randolph.

- Starszy pan życzy sobie, by przynieść mu jego czarną walizkę.

Podąłem panu Randolphowi dwa dolary przeżarte wonią czosnku.

- Proszę dopilnować, by miał wszystko, czego potrzebuje.
- Spokojna głowa.

Zwęszył czosnek i spojrzał na mnie podejrzliwie.

Kilka minut później wrócił do naszego wagonu i zaczął przygotowywać posłania. Poszedłem do umywalni. Tata siedział z zaczerwienionymi oczyma przy oknie i mruzczał coś

do siebie pod nosem. Pomieszczenie wypełniał dym z drogiego cygara.

- Posłania są już gotowe, tato. Może byś się już położył.

- Dalej, synu. Baw się dobrze. Śmieję się i baw, nie martw się o swego ojca.

- Myślę, że powinienes się położyć.

- Nie ja. Nie dla Nicka Fantego łóżka w pociągu. Zostań tutaj.

No i został. Poszedłem do baru i zamówiłem brandy. Gdy wróciłem do wagonu numer 21, pan Randolph zdążył już przygotować wszystkie łóżka. W męskiej umywalni było tłoczno, pasażerowie myli twarze, szorowali zęby, przygotowywali się do spoczynku. Wszyscy zwracali się do mojego ojca per „ojczulku” i życzyli mu dobrej nocy. Do mnie nikt się słowem nie odezwał. Zaciśnąłem zęby i zachowywałem się, jakby nigdy nic. Pałac papierosy, wyczekiwałem z utęsknieniem ranka, który miał zakończyć tę koszmarną podróż.

Przed jedenastą wszyscy pasażerowie z wagonu numer 21 byli już w łóżkach, oprócz mnie i taty. Spał przy oknie, chrapiąc. Potrząsnąłem nim, żeby się przebudził.

- Chodź do łóżka.

- Nie, proszę pana.

- Nie możesz spać tutaj. Mam dla ciebie wygodne łóżko.

- Nie, proszę pana.

Przyszedł pan Randolph.

- Biedny staruszek. Jest taki zmęczony.

- Nie chce spać na kuzetce.

- Wspaniały starzec.

- Proszę mi pomóc zaprowadzić go do łóżka.

Spróbowaliśmy go podnieść, ale zaciekle wierzgał nogami, a do tego jeszcze miał na sobie ciężkie robocze buciska, więc na nic się to zdało. Błagałem i przekonywałem.

- Nie, proszę pana.

Poddałem się. Poszedłem do naszego przedziału i położyłem się na dolnym łóżku. Skoro tata nie chciał się na nim kłaść, nie widziałem powodu, by wdrapywać się na górne. Nie mogłem zasnąć. Na kuszetce było gorąco i duszno. Trzykrotnie wstawałem, wkładałem spodnie i szedłem do męskiej umywalni. Tata leżał wyciągnięty na siedzeniu. Za każdym razem, gdy nim potrząsałem, wydawał gniewne pomruki, po czym zaczynał mnie kopać. Wróciłem na kuszetkę. Dławiłem się z gorąca. Zadzwoiłem po pana Randolpha. Spał na dolnej kuszetce w pobliżu męskiej umywalni. Nie miał do mnie zbyt wiele cierpliwości.

- Tu jest za gorąco - powiedziałem. - Proszę podnieść górną kuszetkę, to będzie więcej powietrza.

Zrobił, jak prosiłem. Teraz miałem nad sobą wolną przestrzeń i było o wiele przyjemniej, gdy się położyłem. Wkrótce zasnąłem.

Obudziłem się rano. Pociąg wyjeżdżał z Castaic w górach, od Los Angeles dzieliła nas ponad godzina drogi. Ubrałem się z poczuciem cudownej swobody, bo mogłem wygodnie się rozprostować, gdy górne łóżko zostało złożone. Potem wyszedłem na korytarz. Wszyscy pozostali pasażerowie byli już na nogach, całkiem ubrani. Wszystkie kuszetki poza moją zostały pościelone. Pan Randolph krzątał się z miotełką. Wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie. O ile w nocy ci ludzie żywili do mnie niechęć, o tyle teraz byli gotowi mnie

zlinczować. Ich odraza była jak oszałamiający gorący wichur, wyraźna i przerażająca. Nagle zrozumiałem, co ich tak rozsierdziło. Górne łóżko pozostawało złożone, i to przez całą noc. Tylko dolne było używane, i to właśnie przeze mnie. Tata, jak wiedzieli, siedział w męskiej umywalni. Nasuwał się koszmarnie oczywisty wniosek: podczas gdy ja spałem sobie w luksusach, zajmując miejsce przeznaczone dla dwóch osób, mój biedny ojciec musiał spędzić noc w łazience. Z zaciśniętymi zębami powlokłem się korytarzem, dziesięć mil przez krainę wrogich Indian.

A tam zastałem tatę. Czarna walizka leżała otwarta na jego kolanach, a on spożywał proste śniadanie, a mianowicie kozi ser i jabłka. Nad nim stał jegomość w tweedach.

- Dobrze spałeś, ojczulku? - spytał.

Uśmiech taty świadczył o tym, że niezbyt dobrze, ale całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Miałem ochotę wyrwać mu serce, a ten gość w tweedach chciał zrobić to samo z moim.

Dopiero gdy dojechaliśmy do Los Angeles, gdy oddaliliśmy się od jego lojalnych towarzyszy podróży, dopiero gdy już uścisnął im wszystkim dłonie i czule się z nimi pożegnał, dopiero wówczas nadszedł czas mojej zemsty. Nasze bagaże zostały odprawione na przystanek taksówek na zewnątrz stacji Los Angeles Union. W ponurym milczeniu maszerowaliśmy podziemnym przejściem dla pieszych, a potem przez hałę dworca do przystanku. Wręczyłem bagażowemu nasze kwity, a on zdjął bagaże z wózka. Tata otworzył portmonetkę, by dać mu napiwek. Ujął dziesięciocentówkę między kciuk a palec wskazujący.

- Nie bierz jego pieniędzy - powiedziałem do bagażowego. On zaś zupełnie się do tego nie kwapił, ujrawszy dziesiątkę.

Wtedy wpadłem na pomysł, jak się zemścić. Wyjąłem portfel i z namaszczeniem odliczyłem pięć dolarowych banknotów, które włożyłem do ręki uśmiechniętemu od ucha do ucha bagażowego. Tata patrzył z niedowierzaniem, z wystawionym językiem.

- O co chodzi?

Bagażowy się rozpromienił.

- Dziękuję!

Zamachałem na taksówkę. Tata rozejrzał się wkoło, zaszkokowany, oczekując, że za te pięć dolarów wydarzy się coś niezwykłego, ale bagażowy po prostu odszedł, licząc pieniądze. Podjechała taksówka. Kierowca zwałił nasze bagaże na przednie siedzenie. Tata nadal stał w miejscu, czekając, aż coś się wydarzy. Bagażowy wtopił się w tłum.

- Co się stało? Gdzie on idzie?

- Chodźmy, tato.

- Przecież musisz dostać resztę.

- Dałem mu to wszystko.

- Zwariowałeś?

Nim zdążyłem go powstrzymać, popędził za bagażowym, roztrzając ludzi, torując sobie drogę w tłumie i wrzeszcząc: „Panie! Hej! Wracaj pan!”.

Ale bagażowy zniknął, wchłonięty przez ciżbę ludzką pędzącą do pociągów i wylewającą się z dworca. Tata stał zawiedziony, prawie we łzach i strzelał oczami wokół.

- Zniknął. Zabrał twoje pieniądze.

- Chciałem, żeby je wziął.

Latał w kółko jak opętany, wymachiwał rękami, twarz mu spurpurowiała ze złości. - Nie wiesz, co robisz! O pieniądze jest ciężko. Potrzebujesz ich, każdego centa, żeby kupić buty, mleko i chleb. Dla żony i dziecka.

Cóż, tata miał rację. To była zemsta głupca. Zbyt szybko zapomniałem o chudych latach, które minęły, chudych latach, które bez wątplenia miały znowu nadejść. Wróciliśmy do taksówki. Wsiadłem. Tata wahał się przy drzwiach.

- Ile to kosztuje? - spytał.

- Niedużo, tato, parę centów.

Wsiadł do środka, a ja wyjaśniłem mu, jak licznik określa koszt kursu. Podałem kierowcy adres, a on uruchomił licznik. Taksówka wyjechała ze stacji Union. Licznik wskazywał najniższą opłatę za przejazd.

- To tylko dwadzieścia centów - uśmiechnął się tata. Opadł wygodnie na oparcie, zadowolony. Zjechaliśmy z Aliso na Los Angeles Street, gdzie były pierwsze światła. Rozległo się ostre kliknięcie i licznik wskazał trzydzieści centów.

- Co się dzieje?

- Nie przejmuj się, tato. Mamy do przejechania około ośmiu mil. To nie będzie dużo kosztować.

Pochylił się do przodu na siedzeniu. Ulice miasta, śródmiejski tłum nie budziły jego zainteresowania. Całą uwagę skupił na liczniku. Dojechaliśmy do Main Street. Wskazałem ogromny budynek ratusza. Licznik znów kliknął.

- Czterdzieści centów - powiedział tata.

Wjechaliśmy na Spring Street, niedaleko stąd była Plaża i najbardziej podejrzana okolica Los Angeles. Nie tak wiele

lat temu przemierzałem pobliskie ulice samotnie i bez grosza przy duszy. Nocowałem w Sunshine Mission i wygrzebywałem niedopałki papierosów z dzbanów z piaskiem stojących przed windami. Bywało, że chodziłem bez skarpetek. Raz pracowałem jako pomocnik kelnera w Simon's na Hill Street, myłem szlauchem pojemniki na śmiecie, polerowałem mosiężne poręcze. Te dni dawno już straciły urok w moich oczach. Cieszyłem się, że jestem z dala od tanich hotelików na Tempie Street, nie muszę pić kawy za dwa centy i golić się starymi żyletkami w publicznych toaletach z zimną wodą. Bywały dni na tych śródmiejskich ulicach, gdy jeden dolarowy banknot w kieszeni oznaczał dla mnie chwilowe uwolnienie się od gorączkowej walki o byt, czas, w którym mogłem nieco się rozluźnić, nie przejmować niczym przez dwadzieścia cztery godziny. Minęliśmy Pershing Square. Licznik znowu kliknął. Tata otarł twarz wielką niebieską chustką.

- Nabiło już siedemdziesiąt centów. Wsiądźmy.

Za Pershing Square było całonocne kino, gdzie za dziesiątka sypiałem czasem aż do piątej rano. Wtedy wszystkich stamtąd wyrzucano, a ja zawsze używałem wyjść awaryjnych, ale frajerzy wychodzili, zataczając się, frontowym wejściem, gdzie zgarniała ich policja i zabierała do aresztu Lincoln Heights pod zarzutem włóczęgostwa. Raz i mnie się to przydarzyło, i mogło stać się znowu, chyba że będę ciężko pracował i słucał rady taty, i oszczędzał pieniądze. Taksówka sunęła Seventh Street, licznik klikał co jakiś czas, a tata wpadał w coraz większą panikę, w miarę jak cyfry rosły.

Wkrótce i mnie się to udzieliło i zacząłem wgapiać się w licznik, przestraszony i zafascynowany. Gdy wjechaliśmy



na Wilshire Boulevard, nabił już prawie dwa dolary, a ja wypacałem je razem z tatą. Miałem w portfelu ponad sto dolarów, ale myślałem o dawnych czasach, desperackiej potrzebie oszczędzania teraz, gdy spodziewaliśmy się dziecka, o nieodwołalnej stracie zmarnowanego grosza. Gdy licznik wybił dwa dolary, tata jęknął z bólu i pokręcił głową.

- Ile jeszcze będziemy jechać?

- Milę albo dwie.

Tak naprawdę było więcej. Przejechałem już tę trasę taksówką i zapłaciłem za kurs pięć dolarów, albo coś koło tego, a teraz wydawało mi się to bajeczne, zbyt kosztowne dla kogoś takiego jak ja. Przejechaliśmy jeszcze kilka przecznic i nagle nie mogłem tego dłużej znieść. Zastukałem w szybę oddzielającą nas od kierowcy.

- Proszę zatrzymać. Tutaj.

Taksówkarz natychmiast podjechał do krawężnika.

- Jeszcze nie jesteśmy na miejscu, koleżko - odparł.

- To niedaleko, przejdziemy się.

- Wolna wola.

Wyrwał kwit z licznika. Opłata wynosiła trzy dwadzieścia. Zapłaciłem co do centa, ani więcej, ani mniej. Kierowca wyładował nasze bagaże na chodnik i odjechał. A niech sobie z nas szydzi! Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Dziś modnie jest kpić z prostych mądrości Carnegiego czy Rockefellera. Widziałem teraz, że ci wielcy ludzie mieli rację.

- Idziemy, tato. To niedaleko. Tylko parę mil.

Splunął na rękę.

- Teraz to rozumiem, chłopcze.

Trzeba oddać tacie sprawiedliwość. Gdyby nie on, mógłbym się poddać, paść w jakimś rozgrzanym brudnym rynsztoku, nigdy już nie ujrzeć swojej Joyce. Gdyby nie tata, wyprawa mogłaby się zakończyć kompletną degrengoladą, a szlak znaczyłyby porzucone mamine słoje z pomidorami, dżemem figowym oraz nietknięte ciasto czekoladowe.

On miał siłę dziesięciu ludzi, gdy wlekliśmy się w ślimaczym tempie, szalony upał mącił mi rozum, dławiące spaliny paliły moje spierzchnięte usta. W jednej ręce niósł swój wór z narzędziami, w drugiej jedną walizkę, a pod pachą drugą. Dwadzieścia kroków za nim wlokłem się z trudem ja, uginając się pod koszmarnym ciężarem kartonu obwiązanego sznurkiem i własnej torby. Tata dzielnie znosił trudy desperackiej wędrówki i wykrzykiwał słowa otuchy do młodszego mężczyzny, który chciał rzucić wszystko przed każdym kolejnym sklepikiem roztaczającym aromat zimnej coli i gazowanego napoju czekoladowego. Jednak ziarnko do ziarnka. Musiałem to wszystko znieść do samego końca. Byłem cholernym głupcem i wiedziałem o tym.

Wreszcie dotarliśmy do domu. Tata był rzeński jak skowronek. Ja padłem plackiem na trawnik. Joyce dostrzegła nas z okna i wybiegła przed dom. Wystarczyło jedno spojrzenie na nią, na bujną krągłość jej talii, by tata rzucił bagaże i zaczął płakać. Wyciągnął ręce przed siebie.

- Ach, panno Joyce. Dzieciaczek jest śliczny!

- Tata Fante!

Podbiegła z otwartymi ramionami, by go powitać, zarzuciła mu ręce na szyję, poczuł miękki nacisk jej brzucha i cofnął się dyskretnie, ale ona znów przywarła do niego, a on był

zażenowany i przerażony tym cudownym balonem, który go dotykał.

- Tak się cieszymy, że przyjechałeś - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo cię potrzebujemy.

Zaśmiał się i poklepał ją niezgrabnie, zachwycony nią i ponętą krągłością, która zawierała również cząsteczkę jego samego. Było widać, że aż drży i doznaje zawrotu głowy z radości, patrząc na to przedłużenie samego siebie, projekcję własnego życia sięgającą daleko poza ograniczenia lat, jakie były mu pisane na ziemi. Gdy tak siedziałem na trawie i patrzyłem na niego, zrozumiałem nagle, że nawet przyjście na świat własnych dzieci nie obudziło w nim tyle sentymentów i emocji, co spodziewane narodziny tego dziecka. Joyce rzuciła mi ponad ramieniem taty zaskoczony spójrzanie. Siedziałem po prostu na trawie, zadowolony, że jestem w domu, zbyt zmęczony, by mówić.

- John... co się stało?

- Szliśmy.

Wstałem i ucałowałem ją.

- Dlaczego nie wzięliście taksówki?

- To też zrobiliśmy.

Nie chciałem już drażnić tego tematu. Chciałem się wykąpać, włożyć czyste ubranie i spróbować żyć dalej, wymazać z pamięci ten czarny rozdział. Tata kopał trawnik twardym czubkiem swego buta.

- Diabelna trawa. Wszędzie tylko ta diabelna trawa. Do niczego.

Powędrował wzrokiem za dwoma rzędami wysokich palm maszerujących po dwóch stronach drogi, których gibkie pnie

wnosiły się ku niebu, a liście przypominały miotełki do kurzu na długich rączkach.

- Do niczego takie drzewa. Ani cienia, ani owoców, ani nic.

Zebraliśmy bagaże i wnieśliśmy je do domu, po czym ułożyliśmy na stosie w holu, przed schodami. Po lewej, jeden schodek w dół, znajdował się salon z szerokimi oszklonymi drzwiami i chłodnymi zielonymi ścianami, duży przyjemny pokój z beżowym dywanem i starannie dobraną klepką z białego dębu. Stojąc tam, poczułem, że to dobry dom pomimo dziury w kuchennej podłodze; tak, piękny dom, szczęśliwy dom, a ja byłem dumny, że należy do mnie, i otoczyłem Joyce ramieniem.

- Oto on, tato. Mój dom.

Rzucił parę spojrzeń na boki, po czym odgryzł końcówkę świeżego cygara, potarł zapałkę o udo i przypalił.

- Podłoga nierówna.

- Dębowa, tato. Bardzo dobra podłoga.

- Nierówna.

Spojrzeliliśmy na podłogę. Wydawała się bez zarzutu.

- Torba z narzędziami - rzucił.

Leżała z innymi manelami.

- Torba z narzędziami - powtórzył.

- Jest tam.

- Torba z narzędziami - nie ustępował.

Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, o co mu chodzi - że mam otworzyć jego torbę. Gdy to do mnie dotarło, uświadomiłem sobie, że tata przejął władzę, że nasza relacja nagle się zmieniła, że teraz on jest szefem. Pamiętałem to z dawnych

czasów, gdy jeszcze mieszkałem pod jego dachem ze swoimi braćmi i pracowałem z nim jako pomocnik na budowach. To właśnie było najgorsze, gdy się pracowało z tym człowiekiem, i nigdy tego nie lubiłem, tak samo jak moi bracia. Mówił wtedy: „Ołówek”, co znaczyło: podaj mi ołówek. Albo mówił: „Dwa na cztery, długość trzy stopy”. Pracę pod jego nadzorem otaczała tajemnica, gdyż nigdy nie objaśniał, do czego potrzebował danej rzeczy. Nigdy nie wyjaśniał nam niczego i dlatego po robocie byliśmy zawsze sfrustrowani i wściekli, bo traktował nas jak niewolników. I znowu miałem to samo po szesnastu latach, ten człowiek stał w moim domu i mówił: „Torba z narzędziami”.

Odpiąłem sprzączki i otworzyłem szeroko wór.

- Półcalowa rurka. Długa na stopę.

Pogrzebałem na dnie torby i znalazłem tam wiele rurek. Tata chodził tam i z powrotem, oglądając podłogę. Dałem mu to, czego chciał. Ale on tylko omiół rurkę wzrokiem i nie wziął jej ode mnie.

- Zła rurka.

- O taką proszę.

- Półcalowa rurka. Długa na stopę.

Pogmerałem w torbie i znalazłem inną. Wyglądała na dobrą. Wyjąłem ją.

- Zła rurka.

Odrzuciłem ją, wygrzebałem z torby wszystkie krótkie rurki i wyciągnąłem w jego stronę. Szybko chwycił tę, o którą mu chodziło.

- Poziomnica.

Podąłem mu ją.

Położył przyrząd na podłodze, ukląkł i przyjrzał się bąbelkowi powietrza wewnątrz przezroczystego okienka.

- Miarka.

Dałem mu ją, a on odmierzył odległość od drzwi do pierwszego stopnia schodów.

- Dwanaście stóp.

Umieścił rurkę na podłodze przy drzwiach i przytrzymał ją stopą.

- Podłoga zapada się na dwa cale. Rurka potoczy się do samych schodów. Cały dom ma wklęśnięcie pośrodku.

Zdjął stopę z rurki, a ta zaczęła się turlać, najpierw powoli, lecz szybko nabrała prędkości i toczyła się z brzękiem, a gdy walnęła w schodek, wiedziałem już, że mój tata nie był odpowiednim człowiekiem do tej pracy. Wiedziałem, że nie nawidzi tego domu, że jest do niego uprzedzony, że nie okaże mu krzty litości. Patrzyliśmy na rurkę, która turlała się tam i z powrotem, a wreszcie się zatrzymała. Joyce była zszokowana.

- Na litość boską...

Tata podniósł rurkę i wręczył mi ją ze słowami:

- Torba z narzędziami.

Wrzuciłem rurkę do worka.

- Zamknąć.

Zamknąłem.

- Paski.

Przeciagnałem paski przez dwie klamerki.

- Termity - powiedział na koniec.

Joyce prowadziła go do kuchni. Ja ruszyłem w górę po schodach.

- A ty dokąd? - spytał.

- Kąpiel.

Poszedłem na górę i wziąłem kąpiel. Przez godzinę leżałem w ciepłej kojącej wodzie, drzemiąc, lecz nie śpiąc. Dla mnie kąpiel była nie tyle oczyszczeniem ciała, ile odświeżeniem umysłu. Moje myśli przypominały letnie niebo, cudne obrazy przepływały przez nie niby białe obłoki: żaglówki w Newport Beach, zapadające w pamięć piękno Valli, trzecia aleja w klubie golfowym Fox Hills, proza Willi Cather. Wszystkie te wspaniałe rzeczy, czarujące, świetne, delikatne rzeczy, przychodziły wraz z kąpielą.

Jednak teraz doszło coś dziwnego, nowy, zadziwiający obraz, sadzawka stojącej wody, omszała i zimna. Spowijały ją niby całun głębokie leśne cienie, a tuż pod powierzchnią wody były jakieś istoty, które wysuwały głowy, po czym natychmiast znikaly, a za każdym razem, gdy pogrążały się w toni, coś białego i okropnego sunęło ich śladem. Stopniowo rozpoznawałem te istoty. To byli tata i Joe Muto, pan Randolph i jego gomość w tweedach. Białe włókniste rzeczy, które się za nimi ciągnęły, to były pępowiny. Stwory były tak przerażające, że wyskoczyłem z wanny i szybko się ubrałem.

# 4

JOYCE CZYTAŁA w salonie, otoczona książkami. Tatę dostrzegłem w ogródku na tyłach domu. Siedział pod rozłożystym parasolem ocieniającym trawnik, na stalowym stoliku obok miał butlę z winem, w ustach cygaro, nogi wygodnie wyciągnięte. Odprężał się, studiując dom.

- Co powiedział o dziurze w kuchni?
- Chce to rozważyć.
- Nie ma co rozważać. Trzeba zatkać dziurę.

Joyce zamknęła książkę. ' '

- Daj mu się zastanowić. Ma mnóstwo pomysłów.
- Nieważne, co on tam sobie myśli, dziurę trzeba zatkać. To błąd, że go tu przywiozłem. Jest stary i ma swoje nawyki. Przewiduję kłopoty.

- Takie odnoszenie się do własnego ojca nie jest zbyt miłe.
- Nic na to nie poradzę. Zrobił się z niego niezły ekscentryk.
- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim się do niego zwróciłeś o pomoc. No wiesz, czwarte przykazanie.



- Czwarte przykazanie?
- Czcij ojca swego i matkę swoją.

Rzuciłem jej szybkie spojrzenie. Była uosobieniem niezwykłego spokoju, okazały brzuszek spoczywał dumnie na jej kolanach jak inna osoba. Miałem wrażenie, że rozmawiam z dwojgiem ludzi. Widoczne zza szkieł okularów do czytania szare oczy były przejrzyste i piękne. Siedziała otoczona książkami, niektóre leżały na stoliku do kawy, inne piętrzyły się tuż przy niej na sofie. Czytała Chestertona i Belloc, Thomasa Mertona i Francois Mauriaca. Były tam też książki Karla Adama, Fultona Sheena i Evelyn Waugh. Zerknąłem na tytuły: *The Spirit of Catholicism*, *The Faith of Our Fathers*, *The Idea of a University*. Niektóre z tych książek były moje, zostały wyciągnięte z zakurzonego pudła w garażu, ale większość pochodziła wprost ze sklepu. To było niesamowite znaleźć ją w otoczeniu takich książek, bo była zimną materialistką, miała odmienny światopogląd, ba, powiem nawet, że praktycznie rzecz biorąc, była ateistką i wykazywała naukowe zacięcie do analizowania faktów.

- Co ty wyprawiasz?
- Rozmyślałam nad przemianą. - Zdjęła okulary. - Skoro Bóg jest samym dobrem, dlaczego pozwala na to, by rodziły się kalekie dzieci?

Od razu się wystraszyłem.

- Czy coś nie tak z dzieckiem?
- Oczywiście, że nie. Zadaję ci pytanie.
- Nie znam na nie odpowiedzi.

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- A ja owszem.

- To wprost cudownie.

- Nie chcesz jej usłyszeć?

Nie mogłem traktować jej serio. To tylko kolejny ciężowy kaprys. Oto ta sama dziewczyna, która lubiła sos chilli w sałatce z awokado. Wszystko przejdzie, jak tylko ona wróci do swojej figury. To tylko kaprys. Na pewno. Podobała mi się żona ateistka. Jej postawa upraszczała różne sprawy. Ułatwiała planowanie rodziny. Nie mieliśmy żadnych oporów przed stosowaniem środków antykoncepcyjnych. Wzięliśmy ślub cywilny. Nie skuwały nas łańcuchy religijnych zasad. Mogliśmy się rozwieść w każdej chwili, jeżeli taka była nasza wola. Gdyby Joyce została katoliczką, pojawiłyby się przeróżne komplikacje. Trudno być dobrym katolikiem, bardzo trudno, i dlatego właśnie odszedłem od Kościoła. Jeśli chcesz być dobrym katolikiem, musisz się przedrzeć przez tłum i pomóc Mu nieść krzyż. Zostawiałem to sobie na później. Jednak jeśli ona się przedrze, może będę musiał za nią podążyć, bo jest moją żoną. Nie... to tylko taki jej kaprys, przelotna fantazja. Na pewno.

- Przejdzie ci - powiedziałem. - Dzwonił ktoś?

- Nic ważnego.

Zatelefonowałem do swojej sekretarki w studiu. Same rutynowe telefony. Ktoś chciał się umówić na golfa, a ktoś inny na partyjkę pokera. Mój producent był w Nowym Jorku, więc w biurze panował spokój. To była dobra chwila na zaaranżowanie napraw kuchennych. Należało zakupić tarcicę, tata prawdopodobnie będzie potrzebował pomocnika. Poszedłem na podwórko za domem i zaniósłem sobie krzesło pod wielki parasol. Tata siedział spokojnie z nogami na stole. Butla była

prawie opróżniona. Staruszek obserwował, jak dym z cygara wspina się na gałęzie sztucznego drzewka pomarańczowego stojącego pośrodku podwórka.

- No i jak myślisz, tato? Dużo to będzie kosztowało?

- Oczy mnie pieką. Niedobry ten region.

- Smog. Trzeba będzie przełożyć legary.

- Czy opowiadałem ci już kiedyś o swoim wuju Mingo i bandytach?

- Jasne, wielokrotnie. Czy będziesz potrzebował pomocnika do pracy?

- Odważny człowiek z tego mojego wuja Mingo. Był bratem twojej babki, z domu Andrilli. Powiesili go w Abruzji. *Carabinieri*... Dwie kule w ramię. Ale i tak go powiesili. Jego żona stała tam, płakała. Sześćdziesiąt jeden lat temu. Widziałem na własne oczy. Coletta Andrilli, ładna kobieta.

Pił, trzymając butlę obiema rękoma, jabłko Adama podnosiło mu się i opadało. Odstawił wino i powrócił do swoich przyjemnych rozmyślań. Powiedziałem mu, że w pobliżu jest skład drzewny. Gdyby obliczył, ile materiału potrzebuje, moglibyśmy jeszcze tego dnia po niego pojechać.

- Bardzo mi zależy na tym, żeby już ruszyć z robotą, tato.

Tata przemówił do swego cygara:

- Bardzo mu zależy na tym, żeby już ruszyć z robotą. Przyjechałem przed dwiema godzinami. Jestem zmęczony. Nie spałem dobrze w pociągu, ale on chce już ruszyć z robotą.

Przeprosiłem. Oczywiście miał rację. Byłem bezmyślny.

- Oczywiście, tato. Nie zamierzam cię popędzać. Przez najbliższe dni się nie przemęczaj. Dobrze wypocznij. Kuchnia może zaczekać.

- Zajmę się kuchnią, dzieciaku. A ty się zabierz do pisania.

Na jego twarzy malowało się zmęczenie, brodę i szczęki pokrywała szara szpecina, kąciki ust wygięły się w dół, jego oczy były półotwarte i nabiegłe krwią, piekły go przez trujące gazy w powietrzu.

- Baw się dobrze, tato. Odpoczywaj. Co tylko chcesz, wystarczy poprosić. Potrzebujesz więcej wina?

- Nie martw się o wino, dzieciaku. Ja się tym zajmę.

- Zamówię ci trochę chianti, tato. Prawdziwego chianti. Chcesz coś jeszcze?

- Maszynę do pisania.

- Mam przenośną na górze. Ale ty nie umiesz pisać, tato. Przyjrzał się uważnie swemu cygaru.

- Ty piszesz. Ja mówię.

To mnie wzruszyło. Opuścił mamę zaledwie wczoraj wieczorem, a już chce jej wysłać liścik.

- Dobrze, tato. Będzie bardzo szczęśliwa.

- Ona nie żyje.

- Kto?

- Coletta Andrilli.

- Sądziłem, że chcesz napisać list do mamy.

- A po co? Widziałem się z nią wczoraj. Na Boga, dzieciaku.

- To po co ta maszyna?

- Mój wujek Mingo i bandyci. Piszemy historię. Dla chłopaczka, żeby wiedział o wujku Mingo. Będzie zadowolony, dumny.

- Nie dzisiaj, tato. Zrobimy to, ale później.

- Dzisiaj. Teraz.

- Ale dlaczego dzisiaj?

Odpowiedział z wściekłością i przestraczem:

- Bo mogę umrzeć w każdej chwili. W każdej minucie.

- Kiedy indziej.

Grymas bólu ścisnął mu twarz. Wstał bez słowa i bardzo szybkim krokiem wszedł do domu. Ujrzałem, jak pospiesznie przemierza salon, nie odezwawszy się słowem do Joyce. Wspiął się na schody. Gdy doszedłem do salonu, usłyszałem trzask drzwi pokoju gościnnego. Joyce łypnęła na mnie znad okularów do czytania.

- Cóżeś zrobił temu biednemu staruszkowi?

- Nic. Chce, żebym spisał opowieść o jego wujku Mingo.

- Oczywiście odmówiłeś.

- Powiedziałem, że zrobię to później.

- Po Dorothy Lamour i Cyganach?

- Nie bądź taka mądra.

- To źle tak traktować swego ojca. To grzech. Dobrze wiesz, że należy okazywać szacunek starszym ludziom, zwłaszcza rodzicom. To twój święty obowiązek wobec Boga.

Duża i spokojna, taka była. Była niby wielki biały głaz, nieporuszony mimo naporu spienionych fal. Niby wieża z kości słoniowej, gwiazda zaranna, łagodnie wnoszące się wzgórze, Zapora Hoovera.

- O co ci właściwie chodzi?

- Nie mogę pozwolić, byś znęcał się nad własnym ojcem.

Po omacku szukałem odpowiedzi, lecz żadna mi się nie nasunęła. Wstrząsnęły mną jej słowa, bo wypowiedziała je z dużym przekonaniem. Była kobietą niezmiernie taktowną i rzadko na kogoś naskakiwała. Pomyślałem o tym, by prze-

prosić tatę, ale wówczas wrobiłbym się w sesję z wujkiem Mingo. Nie żebym nienawidził wujka Mingo. Nie nienawidziłem wujka Mingo. Znów ślubowałem, że opiszę jego historię, ale po prostu nie chciałem zajmować się tym cholerstwem akurat teraz.

- Jadę do studia.

Joyce wróciła tymczasem do lektury. Uniosła wzrok znad książki.

- Co mówiłeś?

- Jadę do studia.

- Jeśli Bóg jest nieskończenie dobry i wszechwiedzący, dlaczego tworzy dusze, o których wie, że będą cierpieć wieczne potępienie?

- Nie wiem.

- A ja wiem. - Uśmiechnęła się.

- No to po prostu klawo.

Poszedłem do garażu i wsiadłem do auta. Do studia jechało się około dwudziestu minut, przedzierając się przez korki, ale mnie cieszył warkot samochodów i trąbienie autobusów. Oto charakter naszych czasów. Po urodzeniu dziecka Joyce znów to poczuje, tę ulgę, jaką przynosi zamęt, przemożną potrzebę pozostania przy życiu na ziemi. Okres ciąży i połogu to ciężki czas dla mężczyzny. Tworzenie daje kobiecie straszliwą siłę i świetnie radzi sobie ona bez niego. Ujrzałem ją znowu smukłą, w czarnych koronkach, spragnioną uścisków moich ramion. Pierwsze dziecko poprawia im figury, nadaje im dojrzałość. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy dojechałem do studia. Otumaniony miłością, delektowałem się w myślach mającymi nadejść w przyszłości radościami.

Sekretarka czekała na mnie w pełnej gotowości.

- Proszę natychmiast zadzwonić do żony.

Gdy wykręcałem numer, widziałem, jak leży bezwładnie na tylnym siedzeniu taksówki, okropny widok, dziecko już wychodzi, Joyce jęczy, taksówkarz przerażony, policjant na motocyklu toruje drogę przez korek na Wilshire, wśród wycia syren taksówka z rykiem silnika podjeżdża pod szpital.

Joyce odebrała telefon.

- Twojego ojca nie ma.

- Gdzie poszedł?

- Do San Juan.

- Przecież nie może. Nie ma pieniędzy.

- Idzie pieszo. Po Wilshire. Nie mogłam go zatrzymać.

- Jadę po niego.

Odłożyłem słuchawkę, pobiegłem do samochodu, a potem popędziłem na Wilshire. Znalazłem go milę na wschód od domu. Znalazłem go i się rozplakałem. Siedział na ławce na bulwarze, na przystanku autobusowym. Torba z narzędziami i obwiązane sznurkiem walizki stały obok niego. Siedział tam, na rogu ulicy, stary człowiek ze swym zniszczonym dobytkiem. Siedział bez nadziei, umęczony wielkim miastem, na brzegu rzeki samochodów, fale spalin owiewały jego znużoną twarz. O tak, załkałem. Miałem ochotę uderzyć się w piersi i powiedzieć *mea culpa, mea culpa*, bo dostrzegłem tragizm starości, samotność ostatnich lat; mój tata, mój stary tata, tak daleko od Abruzji, wieśniak do końca, siedzący na ławce, sam na świecie. Ależ oczywiście, że spiszę jego opowieść! Jasne, że napiszemy o wujku Mingo, żeby dziecko mogło sobie o nim poczytać. To najważniejsza rzecz, jaką

trzeba napisać. Zaparkowałem samochód, otarłem oczy i podszedłem do ojca siedzącego na ławce.

- Tato. Co ty tu robisz?

- Cześć, dzieciaku.

Położyłem rękę na jego ramieniu.

- Jaki był wujek Mingo, tato? Opowiedz mi wszystko od samego początku.

- Miał rude włosy, dzieciaku. Wielkie stopy. Był bardzo silnym mężczyzną.

Ale nie mógł opowiadać dalej. Zaczął płakać i ja też się rozplakałem, i objęliśmy się, i płakaliśmy, płakaliśmy, bo wiedzieliśmy, jaki ważny był wujek Mingo, i tak bardzo go kochaliśmy po tych wszystkich latach.

- Chodź, tato. Wracajmy do domu. Spiszemy tę historię. Zapaliłem się do tego, tato. Wszystko opiszę.

Próbowałem pomóc mu wstać z ławki, ale się wyrwał.

- Nie mam domu, dzieciaku. Nikt mnie nie chce.

- Daj spokój, tato. Kupimy ci trochę wina, a potem pojedziemy do domu i to napiszemy.

- Może jakąś małą butelczynę.

Wyciągnął z kieszeni chustkę w niebieskie grochy, otarł oczy i wysmarkał głośno nos. Potem wyjął portfel o wielu przegródkach i znów zobaczyłem czosnek, niby warczący brązowy płomyk, ojciec pogmerał w portfelu, a wreszcie wyjął kilka monet, sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt centów, i podał mi je.

- Małą butelczynę dla twego taty.

- Zabierz to, tato. Kupię ci najlepsze wino na świecie. Zatrzymaj swojej pieniądze, tato. Mam czym zapłacić.



Zanieśliśmy bagaże do samochodu, a ojciec wsiadł obok mnie. A więc mi wybaczył, dobrze było otrzymać przebaczenie i chciałem okazać swoją wdzięczność. Pojechaliśmy do sklepu monopolowego, gdzie pełno było wykwintnych trunków z różnych stron świata. Tata rozejrzał się po sklepie, a jego smutek wśród tych rozmigotanych butelek wyparował. Tylko trochę winka, powtarzał, byle zmoczyć usta, może pół kwarty kalifornijskiego, ale na tych półkach był wielki szeroki świat, stał otworem przed tatą. Trochę caberneta z Chile i od razu zmiękł, więc poprosiliśmy o kilka butelek, trochę Château Lyonnat i skrzynka złocistego bordeaux, a on uśmiechnął się i pomyślał, że to bardzo niemądre i drogie jak dla człowieka, który pragnął pociągnąć parę łyków kalifornijskiego claretu. O tak, Joyce miała rację, muszę oddawać honory ludziom w podeszłym wieku, złożyć hołd swemu tacie, który niemal załkał na widok tej butelki chianti w słomianym koszyczku, więc też wzięliśmy całą skrzynkę.

- To za dużo - powiedział, załamując ręce, ale już całkiem odzyskał rezon, zapalił cygaro i przybrał pozę sprytnego kupca-księcia, przechadzając się po eleganckim sklepie, zdejmował butelki z półek, czytał etykiety i odstawiał trunki na miejsce. Był człowiekiem o wykwintnym guście, znał marki portugalskie i nie zapomniał o martellu. Ale egzotyczny rys jego natury również dawał znać o sobie, bo lubił florenczką anyżówkę robioną przez włoskich mnichów, a gdy dostrzegł wysoką złocistą butelkę galliano, wiedziałem, że też musi je mieć, stary człowiek musi mieć galliano, butelka jest tak cudnie wysmukła, likier żółty niby włoskie słońce.

Sprzedawca obiecał, że załatwi szybką dostawę do domu, ale jeśli chodzi o galliano, tata ufał jedynie samemu sobie i czuł, że martella też powinien zabrać. Pojechaliśmy do domu i zaparkowaliśmy w garażu. Wysiadł ostrożnie, zważając na każdy ruch. Joyce ucieszyła się, że wróciliśmy razem, wycałowała nas, a muśnięcie jej ust na moich policzkach było niczym dotyk ust zakonnicy.

- Niech Bóg was błogosławi, kochani - powiedziała.

Pierwszy raz w życiu powiedziała coś podobnego. Tata otworzył galliano i martella, po czym rozsiedliśmy się wygodnie w salonie. Jak alchemik w jakiejś starożytnej weneckiej piwnicy nalał sobie dwie uncje martella i uśmiechnął się z błogim zadowoleniem, gdy dodał do tego uncję galliano. Pociągnął łyczek i ogarnęła go taka rozkosz, że już myślałem, iż uniesie się łagodnie pod sam sufit.

- Mój wujek Mingo miał rude włosy - powiedział. - Mieszkał w kamiennym domu o ścianach grubych na trzy stopy.

Joyce przyniosła talerz z serami i salami.

- Spytałem kiedyś: „Wujku Mingo, co daje ci tak wielką siłę?”. Wujek Mingo podniósł mnie na jednej wyprostowanej ręce, przytrzymał i odparł: „Oliwa”.

Joyce i ja skosztowaliśmy galliano.

- Brat wujka Mingo był burmistrzem Torcelli. W tamtych czasach mieliśmy złe drogi. Pięć tysięcy ludzi. Mój kuzyn Aldo zmarł, gdy miał cztery lata. Wszyscy przyszli na festę. Ser. Antonio nie lubił księdza. Trochę pszenicy, ale głównie owies. Poszedłem tam i spytałem: „Vico, co tu się dzieje?”. Nie mieliśmy wtedy jeszcze elektryczności...

Zapadła ciemność. Telefon dzwonił wielokrotnie, a Joyce szła na paluszkach go odebrać. Nie pozwoliła mi ruszyć się z miejsca. Musiałem zostać tam i słuchać, zebrać fakty. Tata odstawił galliano i pił czystą brandy. Odezwał się dzwonek do drzwi; jacyś przyjaciele Joyce. Przeprowadziła ich szybko obok nas do swego pokoju.

- Siostra wujka Mingo, Della, wyszła za Giuseppe Marcosę. Pewnego dnia widziałem w miasteczku d'Annunzia,jechał na rowerze. Gorąco latem, zimno zimą. Wielki człowiek, wujek Mingo. Czasami czekolada, ale nie kawa. Ściany, szerokie na trzy stopy. Może ze dwa akry. Pełno kamieni. Sześć stóp i sześć cali, chyba. Dobry człowiek. Silny. Dach kryty dachówką. Gdy umarł Italo, przyszło całe miasto. Powiedziałem sobie, mogli przywieźć ryby z Bari, ale on nie był dobry, ten Luigi. Jak człowiek może ukraść wiano własnej córki? Wiedziałem, że szykują się kłopoty...

Joyce zostawiła na chwilę swoich gości, by przynieść mi kolację na tacy. Tata nie był głodny. Zacisnąłem zęby i słuchałem dalej. Joyce wróciła do swoich przyjaciół. Z pobliskiego pokoju dochodził mnie ich śmiech. Tata wytrąbił już połowę brandy.

- Tego roku nie było deszczu. Mój kuzyn pojechał do Neapolu. Och, mieliśmy trochę winogron, ale zbiory były marne. Oliwkowy region, kamienista ziemia. W Torcerli nie uświadczyles zakładów fryzjerskich, trzeba było strzyc się samemu. Śnieg spadł dopiero dziewiętnastego stycznia. Wujek Mingo wrócił do domu strasznie wściekły...

Znów odezwał się dzwonek przy drzwiach. To był dostawca ze sklepu monopolowego. Złożył wszystkie paczki

i skrzynki na kupie w holu. Tata udał się chwiejnym krokiem do kuchni i wrócił z korkociągiem. Otworzył chianti. Przez chwilę myślałem, że to koniec mej męki. Tata zachwiał się niepewnie, pociągając z butelki, ale wrócił do salonu i rozsiadł się tam ponownie.

- Hmm... na czym to ja stanąłem?

Wiedziałem, co będzie dalej. Umrę w tym pokoju, przyku-ty łańcuchem do krzesła, ale wysłucham opowieści do samego końca.

- Twój wujek Mingo wrócił do domu strasznie wściekły.

- Jasne, że był wściekły! W końcu, ile człowiek może znieść! Co ty tam wiesz. Siedzisz sobie w tym Los Angeles, masz mnóstwo żarcia, ale co ty wiesz o ludzkich problemach. Wszystkie te kamienie spadające na jego ziemię. Synek zachorował. Moja matka odeszła. Wiatr wiał bez przerwy. Kozę zdechła, a Dino wyjechał do Rzymu, by zostać księdzem. Podatki były za wysokie. Miałem siedemnaście lat, gdy wyjechałem do Neapolu. Dokuczała mi choroba oczu. Wujek Mingo zdjął but i stopa mu krwawiła. Mieliśmy oliwę, ale mróz zniszczył winogrona. Bez światła, bez gazu. Elena, żona mego brata, miała dziecko. Wujek Mingo chwycił je za szyję i powiedział: „Alfredo, połamię ci wszystkie kości”. Tej nocy padało. Wszyscy bali się wujka Mingo...

Nie doszedł do bandytów. Przyjaciele Joyce opuścili dom w pełnym uszanowania milczeniu; tata wypił dwie butelki chianti i mówił jeszcze o wielu rzeczach, ale nie usłyszałem szczegółów dotyczących przygody wujka Mingo z bandytami. Około północy Joyce podreptała na paluszkach na górę. Siedzieliśmy w niewielkim kręgu światła rzucanym przez

lampę stołową. Powoli, nieodwołalnie zapadł w sen. Podniosłem go, ale wciąż spał, gdy prowadziłem go po schodach, objął mnie ramieniem. Pomogłem mu wejść do pokoju, zdjąłem z niego ubranie i okryłem, w długich kalesonach i w ogóle.

Ale czekała mnie jeszcze praca. Rankiem zapyta o opowiadanie. Poszedłem do swego pokoju i otworzyłem pudło z maszyną do pisania. Zapisałem datę i zacząłem w formie listu:

Drogie nienarodzone jeszcze dziecko!

Dziś wieczór twój dziadek opowiedział mi historię o swoim wujku Mingo i bandytach. Wujek Mingo to twój praprawujeczny dziadek. Piszę tę opowieść, bo twój dziadek pragnie ją zachować do dnia, gdy będziesz mogło ją przeczytać i być może cię ona ucieszy...

Myślałem, że uporam się z tym w dwadzieścia minut. Jednak z tego całego chaosu splątanych anegdot coś się wreszcie wykuło. Wyłonił się pewien nastrój. O czwartej nad ranem zęby mi stały w płomieniach od papierosów i nadal waliłem w klawisze maszyny. Do diabła z dzieciakiem, mogę to sprzedać do „Saturday Evening Post”. W nocy słyszałem chrapanie taty. Słyszałem, jak wstaje, jęczy i człapie do łazienki. W korytarzu panował spory ruch, dochodził stamtąd ciągły tupot stóp. Gdy tylko tata zwalniał łazienkę, zajmowała ją Joyce. Ta dwójka wciąż na nowo podejmowała pochód z pokoi do łazienki. Raz usłyszałem pospieszne kroki w korytarzu. To była Joyce, czekała na swoją kolej. Tata wynurzył się z łazienki w długich kalesonach. Spojrzeli na siebie, posłali sobie pełne zrozumienia somnambuliczne uśmiechy i rozeszli się w różne strony.

Zszedłem na dół nazajutrz w południe. Miałem to ze sobą, dobrych dwadzieścia stron o włoskim bandycie, bohater-skim osobniku o rudych włosach. Znalazłem tatę w jadalni. Rozłożył na stole papier do rysowania i szkicował coś pilnie ołówkiem z linijką w ręku.

- Proszę, tato. Opowieść o wujku Mingo.

Rzuciłem mu ją na papier. Podniósł zapisane strony i oddał mi je.

- Zachowaj to dla dzieciaka.

- Nie chcesz przeczytać?

- A niby po co? Na miły Bóg, dzieciaku, przecież ja to przeżyłem.

# 5

MYŚLAŁEM, ŻE TO TYLKO KAPRYS, jej przelotna fantazja, ale teraz nie widziała już powodu, by ukrywać fakty. Od samego początku ciąży czuła zew religii, gwałtowną potrzebę przemiany. To było coraz silniejsze, w miarę jak dziecko rośnie. Na początku kryła się z tym, nawet przed samą sobą, ale oszukiwanie czyniło ją nieszczęśliwą, więc zaczęła czytać, szukać, a tajemnicza potrzeba stawała się coraz intensywniejsza. Tała to przede mną, ale podczas mojej nieobecności, gdy wyjechałem na Północ, podjęła decyzję: postanowiła wstąpić na łono Kościoła.

Była teraz taka dojrzała, soczysta, wielka. Szare oczy dosłownie cię pożerały wraz z dzieckiem, które nosiła, czułeś, że toniesz w ich hipnotyzującej głębi, gdy patrzyłeś w nie zbyt długo, i pulsowała w nich namiętna wiara. Często widziałem, jak patrzy na wskroś mnie, urzeczona jakąś duchową wizją. W południe dzwoniło na Anioł Pański u świętego Bonifacego, w naszym kościele parafialnym. Joyce natychmiast rzucała wszystko, cokolwiek trzymała w ręku -

książkę, grzebień, szmatkę do wycierania kurzu - i odmawiała modlitwy. Czułem się z tym nieswojo.

- Dlaczego jesteś tym zażenowany? - pytała. - Ponoć liberał z ciebie. Udowodnij to, tutaj, we własnym domu.

Przy posiłkach domagała się, by przed jedzeniem odmawiać modlitwę; spoglądałem na tatę, on wrzeszczał ramionami, po czym wpatrywaliśmy się tępo w talerze, zanim Joyce nie skończyła. Była w tym wszystkim śmiertelnie poważna. Całymi godzinami leżała na łóżku w swoim pokoju, paląc papierosy i dumając o ulotności życia. Nie mogłem tego pojąć. Czasem wydawało mi się, że chodzi o lęk przed śmiercią związany z porodem. Pewnej nocy dawna namiętność wróciła, więc wślizgnąłem się do jej łóżka i otoczyłem ją ramionami. Spała twardo. Potem nagle się obudziła pstryknęła przycisk lampki na stoliku nocnym, wsparła się na łokciu i wpatrywała we mnie, a z jej oczu biła ciepła pobożność.

- Powinieneś praktykować sztukę wyrzeczeń - uśmiechnęła się. - To uczyni cię silnym.

- A po co to komu?

- Dziś przeczytałam pewien wiersz. Posłuchaj:

Przyjemności wszelakich i ciał niebieskich sumę  
Przemnóż przez lata nieskończone  
Jedna minuta nieba warta jest tyle samo'.

Wycofałem się na tyle godnie, na ile pozwalały mi okoliczności, i wczołgałem się na powrót do swego łóżka, zastanawiając się, do czego to wszystko doprowadzi.

' Fragment poematu *Lalla Rooks* Thomasa Moore'a (przyp. i przekł. tłum.).



Dwa razy w tygodniu udawała się do probostwa przy kościele świętego Bonifacego na nauki religijne. Przeczytała katechizm i kilka prostych traktatów, które zaferował jej ksiądz. Ale to nie wystarczyło. Czytała szybko i zachłannie, pożerała każdą książkę, jaką znalazła, na interesujący ją temat. Przystudiowała prawo kanoniczne, świętego Tomasza z Akwinu, Tomasza z Kempis, świętego Augustyna, encykliki papieskie i *Catholic Encyclopaedia*.

Pewnego wieczoru, gdy pławiłem się w wannie, zastukała do drzwi i weszła.

- Wierzysz w wolną wolę?

Mogłem odpowiedzieć, bo pamiętałem to jeszcze ze szkolnego katechizmu.

- Oczywiście, że tak.

- A czy idioci mają wolną wolę? Albo obłąkani?

Tego nie było w katechizmie.

- Nie wiem, jak to jest z idiotami.

Promieniała spokojem.

- A ja wiem.

- Brawa dla ciebie!

Za cztery tygodnie, na kilka dni przed terminem przyjęcia do szpitala, zaplanowała swój chrzest. Wybór świętej patronki niezwykle ją zaabsorbował i przysporzył nie lada trudności. Dokładnie przepatrzyła setki świętych i zredukowała swój wybór do dwóch z nich: świętej Elżbiety i świętej Anny. Nie chciałem się mieszać do całej sprawy, ale ona bez przerwy o tym mówiła.

Wreszcie spytałem:

- A co jest nie tak ze świętą Teresą? Cieszy się świetną opinią na całym świecie.

- Zbyt popularna - odparła Joyce. - Za mało mroczna, zbyt mało tajemnicza. Poza tym była okropnie brzydka. Skłaniam się ku świętej Elżbiecie. Była bardzo bogata i bardzo piękna. Poza tym nieźle pisała. Święta Elżbieta jest mi bardzo bliska. Myślę, że rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek na tym świecie.

- To po prostu klawo.

Posłała mi słodki, pełen tolerancji uśmiech.

- Jestem przygotowana na twoje kpiny.

- Wcale nie kpię. Po prostu nie chcę, byś mnie w to wciągała. Dość mam własnych problemów.

- Jesteś zawsze obecny w moich modlitwach - powiedziała. - Wiem, ile w tobie niepokoju. Ja też taka kiedyś byłam.

- Och, przestań wreszcie.

- Ale ja naprawdę modlę się za ciebie. I za dziecko. I pokój na świecie.

Nagle wydała mi się niesamowicie pociągająca i rzuciłem się na nią, ale otrzymałem jedynie soczystego całusa w policzek, podczas gdy biały balon kuksnął mnie w brzuch.

Poszła kupić różaniec, figurkę świętej Elżbiety i kilka krucyfiksów. Przyniosła też małe buteleczki z wodą święconą i umieściła chrzcielnicę z brązu po wewnętrznej stronie drzwi swojego pokoju, tak by była w zasięgu ręki, żeby mogła nakreślić znak krzyża wodą święconą za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju. Figurka świętej Elżbiety wylądowała na fikuśnej etażerce w rogu pokoju. Joyce stawiała przed nią kwiaty, zapalała świece i czytała pisma świętej.

Spytałem tatę:

- Co sądzisz o tym, że Joyce chce zostać katoliczką?

- Dobrze. Świetnie.
- Co w tym dobrego?
- A czy to źle?
- Chcę planować swoją rodzinę.
- No to planuj. Do roboty. Dzieciaki.
- Dzieciaki, jasne. Dużo dzieciaków. Ale ja chcę je mieć wtedy, gdy będę chciał, tato. Kościół nie uznaje kontroli narpodzin.
- Kontrola narodzin?
- Nie możesz zapobiec ich przychodzeniu na świat. A one po prostu przychodzą, jedno za drugim.
- Czy to źle? To dobrze.
- Nie jesteśmy już wieśniakami, tato. Gdzieś trzeba się zatrzymać.
- Zmrużył oczy.
- Nie podoba mi się to całe gadanie.
- Człowiek powinien mieć prawo decydowania o tym, kiedy chce mieć dzieci.
- Słyszałeś, dzieciaku. Nie podoba mi się to.
- Przypuśćmy, że przyjdą, a my nie będziemy mieli pieniędzy?
- Zarobisz.
- Jest ciężko, tato.
- Uniósł rozczapierzoną dłoń i chwycił mnie za koszulę.
- Tylko nie moje wnuki, rozumiesz? Zostaw je w spokoju. Pozwól im przyjść na świat. Mają takie samo prawo być tutaj jak ty.
- Odsunąłem jego rękę.
- Prawa nie mają tu nic do rzeczy, tato. To kwestia ekonomii.

- Przestań wreszcie czytać te książki.

- Książki? Jakże znowu książki? Nie mogę utrzymać zbyt wielu dzieci.

- My też nie mogliśmy sobie na żadne pozwolić, mama i ja. Nawet na jedno. Ale mieliśmy czwórkę. Zrobiliśmy to bez pieniędzy, kilka dolarów, ale nigdy dość pieniędzy. Ty byś chciał, żebyśmy używali tego czegoś z drogerii, i nawet by cię teraz nie było, ani twojej siostry i braci, a ja i mama sami na świecie? Za co?

Cóż można było odpowiedzieć na takowe dictum.

- Sądzę, że jesteś z gruntu religijnym człowiekiem, tato. Ty naprawdę wierzysz.

- Wnuki. Oto w co wierzę. I zostaw wreszcie te książki.

Tak, traktowała to wszystko ze śmiertelną powagą, z żarliwością neofitki. Lubiła przechadzać się przed figurą świętej Elżbiety, odmawiając różaniec. Przez półuchylone drzwi widziałem, jak chodzi tam i z powrotem, ona i dziecko, jej usta poruszały się podczas modlitwy, oczy łowiły odbicie w lustrze, gdy próbowała wciągnąć swój brzusek i unieść go trochę.

Pewnego dnia wyszła za mną do garażu.

- Oczywiście wiesz, że musimy jak najszybciej wziąć ślub.

- Przecież już jesteśmy po ślubie. Udzielił go nam sędzia pokoju w Reno.

- To była cywilna ceremonia. Jeśli o mnie chodzi, to się nie liczy.

- Dla mnie owszem.

- Chcę, by moje małżeństwo zostało uświęcone.

- Chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie lata cudzożyliśmy?

- Weźmiemy ślub po moim chrzcie. To przepiękna ceremonia. Będziemy małżonkami do końca naszych dni. - Uśmiechnęła się. - Nie będziesz mógł się ze mną rozwieść, nigdy.

Nie kłóć się z matką swojego nienarodzonego dziecka. Starasz się najlepiej, jak możesz, by czuła się szczęśliwa. Zdeklasowałeś się w jej oczach, jesteś ledwie tolerowany, grasz pomniejszą rolę, a ona zostaje gwiazdą przedstawienia, ty zaś masz się podporządkować, bo tak jest zapisane w scenariuszu. W przeciwnym razie możesz ją zamartwić, przysporzyć jej bólu, a w rezultacie zdenerwować dziecko.

- Co chcesz, żebym zrobił, kochanie? Własnymi słowami powiedz mi dokładnie, co chcesz, żebym zrobił.

- Ojciec Gondalfo przyjdzie się z tobą zobaczyć. To mój nauczyciel. Chcę, byś z nim porozmawiał.

Dwa dni później do naszego domu przyszedł ojciec John Gondalfo. Tego popołudnia zastałem go siedzącego w salonie z tatą i Joyce. Ojciec Gondalfo był twardzielem. Służył jako kapelan w piechocie morskiej na południowym Pacyfiku. Czekał na mnie już od godziny. Z powodu upału zdjął sutannę i został w białym podkoszulku, czarne włosy z jego byczego torsu przechodziły przez luźny splot siatkowego materiału. Miał ramiona zapaśnika, a utrzymywał się w kondycji, odbijając piłkę rączną o ścianę garażu na plebanii. Był mło-

dym księdzem, nie miał więcej niż czterdzieści dwa lata, ciemną sycylijską twarz, złamany nos i włosy obcięte na jeża. Wyglądał jak strażnik albo zawodnik linii ataku z Santa Clara. Kiedy tylko go ujrzałem, domyśliłem się, że jest, tak jak ja, włoskiego pochodzenia, a owo pokrewieństwo natychmiast spowodowało brutalną poufałość. Zmiażdżył mi kostki dłoni w uścisku.

- Jest piąta trzydzieści, Fante. Gdzie pan był?

Powiedziałem mu, że w pracy.

- O której pan skończył?

Powiedziałem mu, że tuż po czwartej.

- O czwartej? Gdzie pan był przez ostatnie półtorej godziny?

Powiedziałem mu, że wpadłem do Lucey's na whisky z wodą sodową.

- A co, nie wie pan, że pańska żona jest w ciąży?

Joyce siedziała w wielkim fotelu, ogromny kopiec spoczywał leniwie na jej kolanach, które rozsunęła lekko, by go podtrzymać. Uwielbiała ojca Johna. Wyczułem również podziw taty, jak również lekką wrogość wobec mnie.

- A co złego w picciu tutaj, we własnym domu? - spytał ojciec John. - Z pańską żoną i tym wspaniałym człowiekiem, który jest pana ojcem? Czy brał to pan kiedykolwiek pod uwagę?

Zachwyciły mnie jego ramiona, czarna intensywność jego oczu.

- Jasne, ojczu. Piję w domu całkiem sporo.

- Czas, by pan nabrał rozumu, Fante.

- Oczywiście, ojczu. Ale...

- Nie kłóć się ze mną, chłopcze. Myślisz, że właśnie przy-  
płynąłem promem z Hoboken?

Nie chciałem się z nikim kłócić. Spojrzawszy na Joyce, zauważyłem, że porwał ją zapal, z jakim ojciec John wygłaszał swe mętne napomnienia. W owej chwili zupełnie mnie nie aprobowała. Tak samo zresztą jak tata, który siedział przed butelką wina, oblizując wargi i kiwając mądrze głową do wtóru słów księdza.

Ojciec John klasnął w swe potężne łapska, zatarł je mocno i powiedział:

- No dobra, przejdźmy do interesów. Fante, pańska żona zamierza wstąpić na łono Świętego Kościoła Rzymskokatolickiego. Zgłasza pan jakieś zastrzeżenia?

- Żadnych zastrzeżeń, ojcze.

I była to szczerą prawdą. Nie mogło być żadnych zastrzeżeń. Mogłem życzyć sobie czego innego, mieć nadzieję, że Joyce wstrzyma się na jakiś czas z realizacją swego pragnienia, ale to zupełnie co innego.

- A co z panem? Pański ojciec, obecny tu cudowny, wspomniały człowiek, powiada mi, że nie szczędził trudu, by dać panu dobre katolickie wychowanie. Ale teraz czyta pan książki i, za przeproszeniem, pisze je pan. Co pan właściwie ma przeciwko nam, Fante? Pan bez wątpienia jest bardzo bystry. Proszę mi wszystko wyjaśnić. Słucham.

- Nie mam nic przeciwko Kościołowi, ojcze. Po prostu chcę myśleć...

- A więc o to chodzi! Nieomylność Ojca Świętego. Więc chce pan wiedzieć, czy biskup rzymski jest rzeczywiście nieomylny w kwestiach wiary i moralności. Fante, od razu to pa-

nu wyjaśnię: owszem, jest nieomylny. Dobrze, co jeszcze nie daje panu spokoju?

Przeciąłem pokój i podszedłem do taty, wziąłem jego butelkę i pociągnąłem z niej łyk wina. Nagły atak wytrącił mnie z równowagi i musiałem się uspokoić.

- Widzi ojciec... Najświętsza Maria Panna...

- Powiem panu o Najświętszej Marii Pannie, Fante. Powiem to wprost, bez żadnych dwuznaczności, żeby miał pan jasność. Maria, Matka Boska, została poczęta bez grzechu, a po śmierci wstąpiła do nieba. Na pewno człowiek o pańskiej inteligencji jest w stanie to zrozumieć.

- Tak, ojciec. Przyjmuję to do wiadomości. Ale w czasie mszy, w trakcie konsekracji...

- W trakcie konsekracji chleb i wino zmieniają się w ciało i krew Chrystusa. Co jeszcze pana dręczy?

- Cóż, ojciec. Gdy człowiek idzie do spowiedzi...

- Chrystus dał swym księżom moc przebaczenia grzechów, kiedy rzekł: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszczicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”<sup>\*</sup>. Ma pan to w Nowym Testamencie. Niech pan sobie przeczyta.

- Rozumiem słowa, ojciec. Ale w doktrynie o grzechu pierworodnym...

- Ha! Więc o to chodzi! Przez grzech pierworodny rozumiemy, że jako dzieci pierwszych rodziców jesteśmy poczęci w grzechu i pozostajemy w nim do chwili przyjęcia cudownego sakramentu chrztu.

<sup>\*</sup> Ewangelia wg św. Jana 20, 22-23, za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).



- Tak, ojcze, wiem. Ale zmartwychwstanie...

- Zmartwychwstanie? Na litość boską, Fante, to już do-  
prawdy łatwizna. Chrystus, nasz Pan, został ukrzyżowany,  
a potem powstał z martwych, co jest obietnicą nieśmiertelno-  
ści dla wszystkich jego dzieci. A może woli pan zdechnąć jak  
pies i na zawsze popaść w zapomnienie?

Westchnąłem i usiadłem. Nie było nic więcej do powie-  
dzenia. Tata odchrząknął i z uśmiechem na ustach uniósł  
butelkę. W jego oczach dostrzegłem dziwne ciepło. Popiół  
z cygara pozostawił na jego kolanach szare ślady.

- Dzieciak za dużo czyta, ojcze. Od lat mu to powtarzam.  
Ach, więc do tego jeszcze „dzieciak”.

- Ale ja lubię czytać, tato. Zresztą to konieczność w moim  
fachu.

- To wszystko przez te książki, ojcze. Kontrola narodzin,  
sam mi mówił.

- Kontrola narodzin? - Ojciec John uśmiechnął się ze  
smutkiem i pokręcił głową. - Powiem panu o kontroli naro-  
dzin w Kościele katolickim. Nie ma żadnej.

- Mówiłem mu, ojcze. Powiedziałem: „To mi się nie podo-  
ba”. To nie wina dziewczyny, ojcze. Ona jest protestantką.  
Nie ma o niczym pojęcia. Ale on powiedział mi: „Chcę kon-  
trolować swoją rodzinę”, tak powiedział, parę dni temu.  
Mnie, własnemu ojcu.

- Powiedziałem coś w tym rodzaju - przyznałem. - Cho-  
dziło o rzecz następującą, ojcze. Otóż moje dochody...

- Widzi ojciec? - przerwał tata. - Są małżeństwem już  
prawie cztery lata. Mnóstwo czasu na dwójkę, chłopczyka  
i dziewczynkę. Moje wnuki. Ale czy one tu są, ojcze? Proszę

ić na górę. Proszę sprawdzić we wszystkich pokojach, pod łózkami, w szafach. Nie znajdzie ich tam ksiądz. Mały Nicky i mała Philomena. Nicky miałyby teraz około trzech lat, rozmawiałby ze swoich dziadkiem. Dziewczynka umiałaby już chodzić. Widzi je tu gdzieś ojciec? Proszę wyjść na podwórko za domem, zajrzeć do garażu. Nie, nie znajdzie ich ksiądz, bo ich tu nie ma. I to jego wina! - Prawy palec wskazujący taty, ten ze złamanym paznokciem, wystrzelił w moim kierunku.

- Przestań, tato.

- Nie przestanę. Chcę wiedzieć, bo jestem ich dziadkiem: gdzie jest Nicky? Gdzie Philomena?

- A skąd ja mam wiedzieć?

Joyce podeszła do taty i usiadła obok niego. Przemówiła spokojnie, trzymając jego wielką czerwoną łapę.

- Nie było żadnych dzieci, tatku Fante. Naprawdę.

W ten sposób nie można było go okiełznać, bo teraz mógł się pławić w sentymentalnym błocku. I oczywiście zaczął pograżać się w żalu, broda mu się trzęsła, oczy zwilgotniały. Próbowałem dawać Joyce znaki spojrzeniem. To prawda, że byłem przeciwny ciąży, dopóki nie będzie nas na to stać. Prawdą było również to, że ona chciała ją zaryzykować bez pieniędzy. Jednak nigdy nie myślałem o tym czasie jako o określonych osobach ludzkich ani nie nadawałem tym niepoczętym dzieciom imion, a teraz na twarzy Joyce ujrzałem oznaki poczucia straty, nikłej rozpacz, kiedy to tata wyraził sprawę w tak sentymentalnym stylu.

- Rozmawiam ze swoimi potomkami - ciągnął tata. - Jest ich dwójka i nigdy ich nie zobaczę, ale one tu gdzieś są i ich

dziadek nie czuje się dobrze, bo nie może im kupić rożków z lodami.

Zaczął szlochać, wpychać wielkie kłykcie w oczy i wyciskać z nich łzy. Pociągnął kolejny łyk z butelki i wstał - mieszan-ka nastrojów, ocieranie ust, wydmuchiwanie dymu z cygara, płacz, smakowanie wina - był zachwycony rolą zrozpaczonego dziadka, który ma złamane serce z powodu nieobecności dziatwy. Ojciec John otoczył go ramieniem i przytulił z szorstką serdecznością. Wyburczeli po włosku jakieś słowa pożegnania, po czym tata ruszył chwiejnie na schody, aby wyspać się po winie, podbródek miał uniesiony, pierś wysuniętą do przodu, dzielnie maszerował do swego pokoju, triumfalnie piął się po schodach.

Przez chwilę milczeliśmy. Joyce osuszyła oczy i nos chusteczką.

- To przez wino - wyjaśniłem. - Po winie robi się bardzo sentymentalny.

- A pan? - spytał ksiądz.

Wzruszyłem ramionami.

- Staram się, jak mogę.

- Zastanawiam się...

Musiał nas opuścić. Tata go zasmucił. Pomogłem mu włożyć sutannę z czarnej serży, po czym wyszliśmy we trójkę na zewnątrz i przecięliśmy trawnik, by dojść do jego samochodu. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

- Proszę uważać na słowa w obecności taty - ostrzegł. - Jest bardzo wrażliwy.

- Wiem.

- Chce, aby powrócił pan na łono Kościoła.

- Spróbuję, ojczce.

Patrzyliśmy, jak się oddala, jego samochód wjechał na Wilshire Boulevard, ryk pojazdów pędzących drogą późnym popołudniem przypominał szum wezbranej na wiosnę rzeki. Nie rozmawialiśmy, wracając do domu. Weszła do kuchni za mną, a ja wyjąłem trochę lodu do drinków. W milczeniu przyglądała się, jak przyrządzam dwa martini.

- Czy on ci pomaga? - spytałem.

- Tak.

- Nigdy nie zostanie biskupem. Ani nawet wielebny.

- Ale to prawdziwy święty. Prosty, uczciwy, nigdy nie wątpi.

- Tak, prosty to on jest...

- Ma wiarę.

- Ciekawe, skąd wytrzasnął tę swoją teologię.

Westchnęła.

- Przyznaję, że teologia sprawia mu pewne problemy. Nie potrafi wytłumaczyć Mistycznego Ciała Chrystusa. Poza tym nie wie o tym, że właściwie jest kalwinem, bo wierzy w predestynację. Przez cały tydzień próbowałam go naprostować, ale nic do niego nie dociera.

Błogosławiona macica, która nosi mego syna!

Pocałowałem ją i napiiliśmy się martini. Piła zamyślona, coś ją martwiło. Było już prawie ciemno. Poszła ze swoim drinkiem do salonu. Po chwili do niej dołączyłem i odszukałem w pograżonym w mroku pokoju. Siedziała w milczeniu przy oknie. Ze zdziwieniem zauważyłem, że cicho płacze.

- O co chodzi, kochanie?

- Twój tata ma rację z tym chłopczykiem i dziewczynką. Och, dlaczego ich nie mamy?

# 6

Po DWÓCH TYGODNIACH tata postanowił rozpocząć prace remontowe. Decyzja ta została przyjęta z wielką radością. Mieliśmy dosyć surowych desek zakrywających dziurę w podłodze. Wilgoć i makabryczne zapachy sączyły się przez szczeliny i wszyscy potykali się o krawędzie dech. Sprzątaczką wbiła sobie drzazgę w rękę i odmówiła mycia podłogi do czasu, aż zostanie naprawiona. Z dziury wyłaziły same okropieństwa. Każdego ranka pierwsza osoba wchodząca do kuchni była zaskoczona gorączkową ucieczką niezdarnych brązowych insektów. Joyce zadzwoniła do Departamentu Zdrowia, który zalecił określony środek. Ale DDT jedynie oszałamiało robale, które turlały się na swych szerokich grzbietach, wesoło wymachując odnóżami. W nocy niemal słyszało się, jak spryskują się sprayem w bestialskim zapamiętaniu.

Tata zwykle wstawał pierwszy, robił sobie śniadanie i parzył tyle kawy, żeby starczyło dla wszystkich. Wkrótce potem przygotowywał sobie kieliszek claretu, w którym pływało surowe jajko. Ów przysmak wyglądał jak żółte oko zamarynowa-

ne w occie. Joyce zobaczyła kiedyś, jak raczy się tą pysznością, i to był pierwszy i ostatni raz, gdy przeżyła poranne mdłości. Skorupki tata zachowywał do kawy. Rzekomo polepszały jej smak. Joyce i ja byliśmy niestrudżonymi eksperymentatorami, jeśli chodzi o kawę. W ciągu lat spróbowaliśmy wszystko, ale najbardziej lubiliśmy metodę przepuszczania przez filtr. Każdego ranka odbywaliśmy mały rytuał, który polegał na tym, że mełliśmy ziarna kawy, dodawaliśmy szczyptę soli i zalewaliśmy to wszystko bardzo gorącą, ale nie wrzącą wodą. Była to niezawodna metoda. Za każdym razem otrzymywało się to, co się chciało: dobrą kawę.

Taty przepis był następujący. Nabierał parę łybatek mielonej kawy, wrzucał ją do dzbanka i gotował. Do tego wywaru dodawał skorupki jajek i znowu trochę gotował, aż powstawało coś w rodzaju kawowej zupy. Była to zabójcza kawa, która wchłaniała śmietankę, nie zmieniając wcale koloru. Gdy się ją mieszało, łyżeczka natykała się na jakiś żwirek, a podejrzane farfocle wypływały na powierzchnię, po czym znów dawały nura w głąb. Gotowane białko jajka przepływało ci zniecka przed oczami i bez przerwy trzeba było wypływać skorupki. Krótko mówiąc - koszmar na papranina. Posłusznie sączyliśmy ów napój, wyłącznie przez grzeczność, a ja potem piłem sobie dobrą kawę w pracy. Joyce była w bardzo niewygodnej sytuacji. Uwielbiała kawę, a żeby się jej napić, musiała pędzić na dół na tyle wcześnie, by zdążyć przed tatą.

Tego ranka tata był w ubraniu roboczym. Miał na sobie te same rzeczy, które nosił w poprzednich dniach, ale zdjął krawat. Nie mogło być wątpliwości, że pozbył się go, bo brał się do roboty. Torba z narzędziami leżała otwarta na tylnej

werandzie, ołówek tata zatknął sobie za ucho i stanął nad poszarpaną dziurą z kamieniarską miarką w ręku. Wyglądał, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał, gdy spod zmrużonych powiek wpatrywał się w podłogę przez zasłonę dymu z cygara. Uśmiechnęliśmy się z wdzięcznością. Wreszcie praca miała zostać wykonana.

Nie trzeba było nic mówić, każde z nas zdawało sobie sprawę, jak ważna jest ta chwila. Przyrządził już kawę, a lekki zapach spalenizny przenikał powietrze. Joyce wyjęła kubki i talerzyki i postawiła je bezgłośnie na stole. Tata rozłożył miarkę i poczynił jakieś niejasne pomiary. Wyjął cygaro z ust, odgryzł kawałek i powiedział głośno do siebie:

- Musi być dwa na dziesięć. - Złożył miarkę. - Taa... pewnikiem dwa na dziesięć.

- Masz na myśli legary, tato?

Zakłóciłem mu jasność myślenia. Odwrócił się do mnie wolno.

- Czy ja ci mówię, jak masz pisać?

- Nie, tato.

- To się nie wtrącaj.

Poszedł do swojej torby z narzędziami i wrócił z młotkiem i krótkim łomem. Rozległ się przenikliwy pisk gwoździ, gdy oderwał kilka prowizorycznie przymocowanych desek. Położył się płasko na brzuchu, a jego głowa zniknęła w dziurze. Pole widzenia okazało się mało satysfakcjonujące, więc wyrwał kolejne dwie deski. Następnie spuścił się na ziemię pod domem. Na kilka minut zniknął nam z oczu.

- Zna się na rzeczy - wyszeptalem.

- Wydaje się bardzo skrupulatny.

Gdy wyłonił się spod podłogi, jego kapelusz i cygaro były spowite pajęczyną. Wygramolił się z dziury, charkając i ocierając zamasyżycie twarz.

- Dwa na dwanaście - powiedział. - Ciekawe dlaczego?

- Masz na myśli legary, tato?

Wbił we mnie wzrok.

- Chcesz tu zostać i naprawić podłogę, a ja mam iść pisać historie?

- Tylko pytam, tato.

Odwrócił się, w oczach miał roztargnienie.

- Dwa na dziesięć też jest w porządku. Tylko filar się trochę podniesie. Ciekawe, dlaczego tak zrobił.

- Co zrobił, tato?

Nie odpowiadając, podszedł do okna i wyjrzał na drogę.

- Dwa na dwanaście? Cholera, a co z cztery na cztery?

Dał nura na tylną werandę i wrócił z młotkiem. Ułożył na powrót deski nad dziurą i przybił je. Pozbierał narzędzia i wrzucił je do torby. Potem zniknął na podwórzu za domem. Gdy poszedłem do garażu, gotowy, by jechać do pracy, zastałem go siedzącego pod parasolem. Pocierał podbródek i wyglądał na zmartwionego.

- Wszystko w porządku, tato?

Wypluł kawałek cygara i powiedział:

- Jedź pisać te swoje historie, dzieciaku.

\*\*

Wczesnym popołudniem zadzwoniła Joyce.

- Mamy dla ciebie niespodziankę.



Ale ja nie byłem zaskoczony, bo wiedziałem, jak ten człowiek pracuje. Nagle radykalnymi działaniami doprowadzał prace do końca.

- Najlepszy fachowiec w całej Kalifornii - powiedziałem.
- To geniusz.

No nie, geniuszem to on nie był, ale miał w sobie pewien rys geniuszu, dynamiczną błyskotliwość, która owocowała po rozważnym namyśle. Po pięćdziesięciu latach w budownictwie był specjalistą najwyższej klasy. Jadąc do domu, przypomniałem sobie, jak stał w kuchni, pogrążony w myślach, zniecierpliwiony moimi pytaniami. Zaniepokoiło mnie to nie na żarty. Czyżby szkody wywołane przez termyty były jeszcze większe, niż przypuszczałem? Teraz było jasne, że przesadziłem z obawami w tym względzie. Szybko, sprawnie, w nagłym przypływie energii ukończył pracę, a ciepło w głosie Joyce powiedziało mi, że jest zadowolona. Jeszcze raz ogarnęło mnie to stare, krzepiące uczucie dotyczące mojego domu i ojca.

Dzięki Bogu, że jeszcze żyje! Niechaj Bóg ofiaruje mu wiele lat na ziemi, a mnie da szansę okazania ojcu wdzięczności i podziwu. Tak właśnie się czułem, gdy jechałem do domu, zamykałem garaż i spieszyłem do kuchni bocznym wejściem.

Podłoga nie została naprawiona. Te same surowe sosnowe deski pokrywały dziurę. Nic się nie zmieniło. Jednak od frontu domu dobiegało dudnienie, łomot stali kruszącej tynki. Znalazłem Joyce i tatę w salonie. Rozwalali kominek. Wszędzie unosiły się kłęby pyłu z kruszonych cegieł i obtłukiwanego tynku. Wyglądali jak wariaci. Joyce z młotkiem, tata

dzierzył łom, którym atakował obmurowanie kominka. Joyce miała na głowie chustkę, twarz umorusaną pyłem i brudem. Była ubrana w zielone jedwabne spodnie ciężowe i żółtą bluzkę, rozgrzana twarz poczerwieniała jej z wysiłku. Tata pracował metodycznie, z cygarem w zębach, łomem wylupywał cegły ze ściany i rzucał je na podłogę. Meble zostały przesunięte i zakryte. Kawałek płótna chronił podłogę.

Nagle Joyce mnie zauważyła.

- Cześć! - zawołała.
- Co tu się dzieje?
- Budujemy nowy kominek.
- Ale po co?

Przyjrzałem się kupie gruzu. Stary kominek, przy całej swojej prostocie, był całkiem odpowiedni. Raz go wypróbowałem i palił się dobrze, nie kopcił. Nie był żadnym tam dziełem sztuki, ale pasował do naszego salonu.

- Przecież z tym kominkiem jest wszystko w porządku.

Joyce otrzepała pył z ubrania.

- Zawsze go nienawidziłam. Od chwili, gdy go ujrzałam po raz pierwszy.

- Powinnaś była najpierw ze mną porozmawiać.
- Dlaczego? Przecież to musiało zostać zrobione.
- Nie, wcale nie musiało.
- Trzeba go rozwalić - wtrącił się tata.
- Dlaczego? Co jest z nim nie tak?

Skinął w stronę pokrytego pyłem brzucha Joyce.

- Spytaj mego wnuka. On nie chce jakiegoś tam kominka z Los Angeles. Chce mieć kominek zbudowany przez swego dziadka.

Ćwierkając z zachwytu, Joyce pokazała mi plany, jakie narysował tata na długim zwoju papieru kancelaryjnego. Miało to być potężne palenisko, wysokie na sześć stóp, szerokie na dziesięć, skonstruowane z cienkich kamiennych płytek. Pomiedzy nimi czarna zaprawa murarska. Gzyms kominka miał zostać wykonany z grubego, niepokruszonego kamienia. Zgodnie z podanymi wymiarami nowy kominek miał być dwa razy większy od tego, który właśnie rozwalili. Naprawdę okazały. Pasowałyby do szwajcarskiego domu w stylu alpejskim, domku myśliwskiego albo Elks' Clubu.

- Przecież trzeba będzie rozwalić również kawałek ściany - zauważyłem.

- Zostaw to mnie - powiedział tata.

Joyce rozłożyła z zachwytem ręce.

- Zapowiada się cudnie. Taki wielki i elegancki kominek. Będzie nam ciepło i przytulnie.

- Wspaniale - powiedziałem. - Zwłaszcza gdy temperatura spadnie do dwudziestu pięciu poniżej zera, a zasy wysokości osiemnastu stóp sparaliżują ruch na Wilshire Boulevard.

- Dla mego wnuka - westchnął tata z rozmarzeniem. - Przetrwa tysiąc lat. Nic nie zdoła zniszczyć tego kominka. Przetrwa dłużej niż cokolwiek innego w Los Angeles.

Wyobraziłem sobie, jak za wprawdzie nie tysiąc, lecz za dziesięć czy piętnaście lat nasz dom zostanie bez wątpienia wyburzony, by zrobić miejsce na jakiś parking, i samochody będą jeździły w tę i we w tę, omijając niezniszczalny kominek taty, którego nijak nie uda się zmieścić z powierzchni ziemi.

- Tato - spytałem - a kiedy zamierzasz naprawić tę dziurę w kuchni?

- To nie jest robota dla mnie. Wezwij stolarza.

\*

\*\*

Byłem przeciwny temu wszystkiemu. Zakrawało to na jakiś obłęd. Nastaly dni pełne zamętu. Nadeszły materiały. Zwalono je na trawniku przed domem. Cztery tony płyt kamiennych, góra piachu, stos cegieł, wory z cementem, tarcica. Niespokojne dni, wielkie dziury w moim domu, ciężarna żona, której zachciało się być pomocnikiem murarza, no i staruszek ze swoją namiętnością do budowania.

Joyce fascynowała zaprawa murarska. Tata zbudował skrzynię przeznaczoną do jej mieszania: wapno, cement, piasek i czarny barwnik. Wprost nie mogła się od tego oderwać. Kupiła sobie brezentowe rękawice i meksykański kapelusz z szerokim rondem. Przez cały dzień szturchała zaprawę motyką, ugniatała ją, ubijała, dolewała wody. Zachowywała się jak dziecko, które robi babki z piasku. Pochlapała sobie zaprawą buty, zaplamiła spodnie. Kobieta w ciąży nie powinna mieszać zaprawy murarskiej. Żaden z poradników tego przecież nie zaleca. Przestrzegalem ją przed przeforsowaniem się. Kpiła ze mnie. Wypierała się, że to robi. Jednak zaprawa pozostawiała znamienne czarne ślady na jej sandałach, łokciach, we włosach. Pomimo brezentowych rękawic zrobił jej się pęcherz na kciuku.

- Oparzyłam się przy gotowaniu - skłamała.

Tata wykonywał ciężkie prace. Mieszał zaprawę, nosił ją w kubłach do domu i wylewał na deskę do zaprawy. Ciął kamienie, ładował je na taczkę i przywoził do miejsca, gdzie miał stanąć kominek. Układał cegły. Ale ona zawsze kręciła się w pobliżu. Niektóre kamienie szczególnie jej się podobały, duże czy małe, i przynosiła je do salonu. Te są bardzo ładne, mówiła, chcę, żeby było je widać. Ale one były ciężkie, a ona je ciągnęła, wlokła, próbowała dźwigać. Potem wracała do zaprawy.

- Dolej trochę wody, panno Joyce.

Dolewała, potem miesiła motyką, wygładzała powierzchnię. Albo siadała i przyglądała się, jak ojciec pracuje, a on prosił ją o różne rzeczy.

- Młotek.

- Poziomnica.

- Kielnia.

Pewnego dnia w południe przyłapałem ją na gorącym uczynku na frontowym podwórku, gdy wrzucała łopatą piach do skrzyni z zaprawą. Tym razem nie mogła się wyprzeć, bo stała niecałe dziesięć stóp ode mnie, dzierżąc łopatę w rękę, a z czoła lał się pot. Odebrałem jej łopatę.

- Przestań robić głupoty.

Zadarła brodę i pozęglowała do domu. Poszedłem za nią. Stała przy kominku z rękami założonymi na piersi, umykała wzrokiem, w którym znać było poczucie winy.

- Jak będziesz dalej tak robić, to poronisz.

- Co za poronisz? - spytał ojciec.

- Nie chcę, żeby dźwigała, machała łopatą.

- Nic jej nie będzie.

- Nie chcę ryzykować.

- Nie zaszkodzi jej. W Abruzji kobiety pracują do ostatniego dnia, piorą, sprzątają w domu, uprawiają ziemię. To dobre dla matki. Wyrabia mięśnie.

Odwróciła się do niego.

- Trzeba było dodać trochę piasku, tatusiu. Parę łopat.

- Parę łopat nikomu nie zaszkodzi. - Spojrzał na nią czule, z ukontentowaniem.

- Ładny chłopczyk. Chłopak dziadunia.

- Słuchaj, tato. To moja żona. Zrujnuje sobie zdrowie. Nie jesteśmy we Włoszech. Nie przywykła do czegoś takiego.

- On jest moim wnukiem. Nic mu nie będzie.

\*  
\*\*

Sprzysięgli się przeciw mnie, rozdzieliła nas ściana, kominek. Poszedłem się z nią zobaczyć cichą nocą, mijając na palcach pokój, z którego dochodziło chrapanie taty przypominające świst nadlatującej bomby. Oderwała oczy od lektury prawa kanonicznego i spojrzała na mnie lodowato, zaskoczona moją obecnością, po czym znów wróciła do książki.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- To już niedługo.

Milczenie.

- Już mi wszystko jedno - powiedziałem. - Chłopiec czy dziewczynka, tak samo dobrze.

Cisza.

- Musisz teraz bardzo na siebie uważać.

Odłożyła książkę, zdjęła okulary do czytania i popatrzyła na mnie dziwnie.

- Gdybym umarła, nie mógłbyś się ożenić z moją siostrą.
- Wcale nie chcę się z nią ożenić.
- Jest bardzo pociągająca. Ale nigdy nie będzie do ciebie należeć. Nigdy. Tak stanowi prawo Kościoła.
- Ale ja nie jestem wcale zainteresowany twoją siostrą.
- Na nic by ci się to zdało, nawet gdybyś był.
- Ale nie jestem.
- To bardzo dobre prawo. Bardzo mądre.
- Skąd ci przyszło do głowy, że będziesz umierać?
- Nie będę umierać. Powiedziałam: gdybym umarła.

Złowieszcze słowa. Czyżby w głębi duszy przeczuwała jakąś tragedię? Jakież to drgnienia w sekretnych zakątkach jej psyche sprawiły, że zafascynowały ją akurat te ustępy prawa kościelnego? Ostrożnie rozważyłem sytuację. Od razu pomyślałem o doktorze Stanleyu. Gdyby nie to, że już tak bardzo daliśmy mu się we znaki, chętnie bym go teraz wezwał. No ale niestety zbyt często podnosiliśmy fałszywy alarm. Gdyby tylko wśród moich przyjaciół była jakaś matka, która wybiła by tej niemądrej dziewczynie z głowy takie głupie pomysły jak dźwiganie ciężarów. Ale nie znałem żadnych matek. Znałem mnóstwo żon, ale żadnych matek.

Dni żenujących podstępów. Bo teraz próbowałem ją przytapać. Wracając z biura do domu, wjeżdżałem w uliczkę od północy zamiast do południa w nadziei, że nakryję ją przy skrzyni z zaprawą. Raz zaparkowałem przecznicę dalej i resztę odległości przebyłem piechotą. Akurat nie było jej na podwórzu przed domem.

Wreszcie jednak znowu ją przyłapałem. Tego popołudnia wyszedłem z pracy o drugiej, podjechałem do następnej przecznicy za swoim domem i zaparkowałem na rogu. Resztę drogi do domu pokonałem na piechotę. I tak oto udało mi się ją zaskoczyć. Klęczała obok sterty kamieni, ściskając w drobnych dłoniach dwustronny młot na krótkim stylisku. Waliała nim w kawał kamiennej płyty, którą kruszyła na mniejsze kawałki przeznaczone na kominek. Pospieszyłem ku niej z wraskiem. Rzuciła młot, powstrzymała okrzyk i pobiegła do domu. Przeskoczyłem przez płot i pognałem za nią. W salonie jej nie było. Tata stał przy kominku z kielnią w dłoni.

- Gdzie moja żona?

Niewinnie wrzucił ramionami.

Wdrapałem się na schody. Zamknęła się w łazience. Słyszałem szum wody leżącej z prysznica. Poszedłem do sypialni. Wszystko było przygotowane na najważniejsze wydarzenie w jej życiu. Przed tygodniem spakowała torbę przeznaczoną na pobyt w szpitalu.

Leżała otwarta, więc do niej zajrzałem. Grzebienie, szczotka, lusterko. Zegarek. Kapcie. Papeteria. Pióro wieczne. Koszule nocne. Szlafrok. Zestaw do robienia manikiuru. Woda kolońska. Kilka chusteczek, kilka szpilek do włosów. Wiele kobiecych drobiazgów. W rogu upchane zostały prezenty dla dziecka: zabawki, butelki, kocyki, ubranka. Srebrny talerzyk, małeńki widelec i łyżeczka. Przy jej sypialni mieściła się oszklona weranda, którą Joyce zamierzała zamienić w pokój dla dziecka. Stało tam już łóżeczko, były szyfoniera, kosz dla noworodka, konik na biegunach, lalka. Królował róż, róż dla dziewczynek, różowe firanki, różowe wstążeczki.



Więc niech już sobie będzie dziewczynka. Ale chłopiec czy dziewczynka, daj dziecku szansę, daj mu przeżyć! Nastał czas ostatecznej rozgrywki. Otworzyły się drzwi łazienki i Joyce weszła do pokoju. Spojrzała na mnie bez zdziwienia. Pysznic zmył makijaż z jej twarzy, usta miały kolor spłowiałej czerwieni, mokre włosy zwisały jak końcówka mopa.

- No i co? - spytała.
- Chcę z tobą porozmawiać.
- Doprawdy?

Zaczęła szczotkować włosy

- Chcę, żebyś przestała wreszcie się wygłupiać. Przestań dźwigać. Skończ z tym rozłupywaniem kamieni.

- Czy to wszystko?

Miałem ochotę nią potrząsnąć.

- Podjąłem decyzję. Skończ z tym albo wynoszę się z tego domu.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła mokrymi włosami.

- Możesz się wynieść w każdej chwili.
- Czy taka jest twoja decyzja?
- Tak, kochanie.

Ponuro wyszedłem z pokoju. To był jej wybór. Sama podjęła taką decyzję. Ale ja nie wyniosłem się z domu. Nie można zostawiać ich w takim stanie. To wymaga wiele taktu. I nie powinno się wygłaszać pochopnych oświadczeń. To wymaga wielkiej wyrozumiałości, ale nie można ich opuszczać.

KARA BYŁA NIEUNIKNIONA. Dwie noce później Joyce zapłaciła za swoją głupotę. Dziesięć minut po północy weszła do mojego pokoju. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na jej kredowo-białą twarz, szeroko otwarte oczy, by wiedzieć, że nadeszła ta chwila. Doktor Stanley przewidywał, że poród, jako pierwszy, nastąpi zapewne dopiero około dwudziestego piątego. Był dwunasty. Ale doktor Stanley nie przewidywał oblężenia - mieszania zaprawy murarskiej i kruszenia kamieni.

Opierając się o framugę, z jedną ręką na brzuchu, drugą na czole, powiedziała:

- Myślę, że dziecko jest w drodze.

Wyskoczyłem z łóżka. Zacisnęła zęby, gdy nastąpił skurcz, i ciężko dysząc, spojrzała na zegarek na swoim przegubie.

- Dziewięć minut. Są coraz mocniejsze.

Podprowadziłem ją do łóżka. Miała spocone czoło i lekko dygotała. Jej ręka w mojej dłoni była gorąca, wilgotna i drżąca. Razem wbiliśmy wzrok w jej zegarek. Dziesięć minut później miała kolejny skurcz. Trwał trzydzieści sekund. Zniosła

go, zacisnąwszy zęby i pięści. Przypomniałem sobie różne książkowe porady.

- A co z pęcherzem płodowym?

- Dzwon do doktora Stanleya. Zawieź mnie do szpitala.

Zbiegłem na dół i zatelefonowałem do lekarza. Odebrała pielęgniarka. Przekaze moją wiadomość, doktor oddzwoni. Na górze Joyce leżała wyciągnięta na łóżku. Wpadłem do pokoju taty.

- Dziecko w drodze.

Obudził się natychmiast.

- Gdzie? - Usiadł. - Dziecko? - Wskoczył z łóżka. - Jak to?

Wyłonił się chwiejnie z ciemności w swych długich kalesonach. Joyce jęknęła. Tata wciągnął ogrodniczki. Wróciłem do sypialni. Joyce leżała z zamkniętymi oczami.

- A co z pęcherzem płodowym?

- Daj mi papierosa.

Pojawił się tata, zapinając sprzączki przy ogrodniczkach. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację.

- Ty. Idź na dół i zagotuj wody.

- Po co?

- Rób, co mówię.

Nie mogłem się ruszyć. Przez całe życie wiedziałem, że w takiej sytuacji gotowano wodę. Co z nią robiono?

- Musimy ją zawieść do szpitala.

- Zagotuj wodę, do cholery.

Złapał mnie za kark i wypchnął przez drzwi. Idąc na dół, wiedziałem, że to obłąd. Szpital był zaledwie o dziesięć minut drogi od domu. Napełniłem czajnik wodą, postawiłem na

gazie i pobiegłem na górę. Tata siedział na brzegu łóżka i trzymał ją za rękę.

- Zadzwoiłeś do doktora Stanleya?
- Pielęgniarka ma mu przekazać.
- Wezwij ojca Gondalfo. Chcę zostać ochrzczona.
- Gorąca woda - powiedział tata.

Zadzwoił telefon. Pobiegłem na dół. Usłyszałem głos doktora Stanleya.

- Dziecko jest w drodze, doktorze.
- Trochę za wcześnie. Czy ona rodzi?
- Strasznie cierpi.
- Czy skurcze są regularne? Mierzyła czas?
- Co dziesięć minut. Strasznie cierpi.
- Lepiej niech pan ją przywiezie.
- Dobrze, doktorze.

Poszedłem na górę.

- Szykuj się, kochanie. Jedziemy do szpitala.
- Gorąca woda! - wrzasnął tata.

- Wezwij ojca Gondalfo - jęknęła Joyce. - Chcę zostać ochrzczona.

Czajnik na dole zaczął świszcząć, a następnie gwizdać przenikliwie, gdy woda się zagotowała. Zadzwoiłem do ojca Gondalfo. Obiecał przyjechać do szpitala za piętnaście minut. Chwyciłem czajnik z wrzątkiem i zaniósłem go na górę. Joyce była w swoim pokoju, siedziała na łóżku, okryta futrem, w kapciach. Tata wyrwał mi czajnik z ręki.

- Idź po samochód. Podjedź od frontu.

Pospieszył z czajnikiem do łazienki. Poszedłem za nim. Chciałem zobaczyć, co będzie robić.

- Rusz się - zakomenderował. - Samochód.

Stałem tam dalej. Nie chciałem, żeby stosował na Joyce jakieś swoje abruzyjskie techniki. Wyjął butelkę brandy z apteczki i wlał sporą porcję do szklanki. Potem dolał wody i podniósł miksturę do światła.

- Co zamierzasz?

- A jak myślisz?

Wypił jednym haustem. Palący płyn spłynął mu w głębi brzucha.

- Ha! - sapnął. - Od razu lepiej się czuję. No ruszcie się wreszcie!

Pobiegłem na dół, wyprowadziłem samochód z garażu i podjechałem przed dom od frontu. Czekali na mnie przy krawężniku. Wszyscy troje zajęliśmy miejsca z przodu. Tata otoczył Joyce ramieniem. Bóle minęły.

Przez całą drogę do szpitala nie pojawiły się skurcze. Nic nie wskazywało na nieuchronne zbliżanie się ojcostwa i odniosłem ponure wrażenie, że znowu podnosimy fałszywy alarm. To mi wyglądało raczej na histerię, a nie ojcostwo. Wydawało się bezkształtne, zadymione jak niewyjaśniona eksplozja. Godziłem się na wszystko, bo nie wiedziałem co i jak. Na twarzy Joyce malowała się teraz ostrożność, a także pewna powściągliwość i zgryzota. Tata trzymał w ustach niezapalone cygaro.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

Temu oświadczeniu zabrakło ważkości, uczciwości. Im bliżej szpitala, tym większe było nasze niewypowiedziane przekonanie, że pomyliliśmy się w rachubach.

Wtedy to powiedziałem. Musiałem to powiedzieć:

- Może twój czas wcale jeszcze nie nadszedł, kochanie. Słowa te wywołały skowyt przerażenia Joyce.

- Och, proszę! - zawołała. - Nawet tak nie myśl! Umrę, jak będziesz tak myślał!

Tata sięgnął ku mnie lewą ręką i szarpnął mnie za włosy.

- Zostaw ją w spokoju, cholerny głupcze.

- Tak sobie tylko pomyślałem.

- To skończ z tym. Po tym wszystkim, co żeś zrobił.

- Ja? Przecież nic nie zrobiłem.

Na początku nie rozumiałem, o co mu chodzi. Spojrzałem na niego, oczy miał wytrzeszczone ze złości, przesywające. Były zsuwnią prowadzącą do jego umysłu. Nagle do mnie dotarło. Przypomniał sobie, jak sprzedawałem jego betoniarkę, żeby kupić sobie rower. Wydarzyło się to prawie przed dwudziestu laty, ale proszę, zapiekła gorycz rozgorzała na nowo w tak dziwnej chwili.

- Tato, proszę. Tylko nie zaczynaj znowu z tamtym...

Cygaro zadrzęło nad jego brodą. Dawna gorycz odebrała mu mowę.

- Jestem taka nieszczęśliwa - zaszlochała Joyce.

Objął ją mocniej ramieniem.

- Jak urodzisz, przyjedziesz do mamy i do mnie i z nami zamieszkaś - uspokajał. - Odejdź od tego gościa. Przez niego są same kłopoty. Trzeba było go wysłać do poprawczaka.

Wpiłem się palcami w kierownicę i trwałem nieruchomo. Wjechaliśmy na łukowaty podjazd przed główną bramą szpitalną. Na schodach pojawiła się strzelista postać ojca Gondalfo. Otworzył drzwi, gdy zatrzymałem samochód.

- Och, ojczy! - załkała Joyce.

Tata wysiadł z samochodu. We dwóch pomogli Joyce wygramolić się ze środka. Oczy miała zapłakane. Ksiądz położył swe wielkie dłonie na jej ramionach i jął ją pocieszać.

Joyce cichutko szlochała. Teraz tata i ojciec Gondalfo zaczęli terkotać po włosku. Wymachiwali rękami, kręcili głowami, marszczyli brwi, pochrząkiwali, parskali szyderczo, uśmiechali się, jęczeli, przewracali oczami, krzywili się, kołysali na boki, pokazywali mnie palcem, aż wreszcie zapadli w złowieszcze milczenie, spozierając na siebie w posępnym zdumieniu. Potem ksiądz olbrzym wsadził głowę do samochodu i spojrzał na mnie, jego ciemne oczy wręcz mnie pożerały.

- Ej, ty. Zaparkuj samochód.

Czemu nie? W chwilach takich jak ta solennym obowiązkiem ojca jest zaparkowanie samochodu. Przejechałem na drugą stronę ulicy, by dostać się na wielki przyszpitalny parking. Gdy wróciłem do wejścia, już ich nie było. Wszedłem do recepcji. Pojechali windą i byli już gdzieś na górze. Spytałem pielęgniarkę siedzącą przy biurku, dokąd się udali. Nie powiedziała mi. Musiałem podpisać jakieś papiery, zanim w ogóle się do mnie odezwała. Kazała mi zobaczyć się z dyżurną pielęgniarką na dwunastym piętrze.

Na górze też fatalnie mi poszło. Niczego nie mogłem się dowiedzieć. Nie było nigdzie śladu taty ani ojca Gondalfo. Przełożona pielęgniarek poinformowała mnie, że Joyce jest teraz badana przez doktora Stanleya. Była to niska, biuściasta kobieta o czerwonej twarzy i falujących muskułach na ramionach. Wydawała się zbyt zajęta, by móc ze mną rozmawiać. Całe biurko miała zavalone papierami i skoroszytami.

- W którym jest pokoju? - spytałem.
- I tak nie może pan jej zobaczyć.
- Ale ja jestem jej mężem.
- Myślałam, że ten starszy pan jest jej mężem.
- On jest mężem mojej matki. To mój ojciec.

Wróciła do swoich papierów. Inne pielęgniarki przychodziły i odchodziły. Stałem tam, starając się nie wchodzić im w drogę. Telefon ciągle dzwonił. Stażystka poinformowała przełożoną pielęgniarek, że 1231 chce sok pomarańczowy. Ta parsknęła szyderczym śmiechem i powiedziała: „Nie ma soku pomarańczowego”. Nad nią, na ścianie naprzeciwko, znajdował się elektryczny wyświetlacz ze szklanym ekranem. Wciąż pojawiał się na nim i znikał numer. Numer 1214, czerwony. Wyświetlał się i przygasał rozpaczliwie ponagla- jąco. Nikt nie zwracał na to uwagi, ani pielęgniarki, ani sta- żyści.

- Czy moja żona jest w dwanaście czternaście?
- Nie.

Skinąłem w stronę ekranu.

- Ktoś z dwanaście czternaście czegoś chce.
- Młody człowieku, proszę iść do dwanaście czterdzieści pięć i tam usiąść.

Zszedłem cały okoliczny teren w poszukiwaniu 1245. Przemierzyłem najpierw jeden korytarz, potem drugi. Ni- gdzie nie mogłem znaleźć 1245. Numery pokoiów następo- wały kolejno po sobie, a następnie było wiele nieoznakowa- nych drzwi. Uchyliłem jedno z nich, a jakaś kobieta usiadła w łóżku i powiedziała: „Proszę wyjść!”. Wreszcie trafiłem z powrotem do przełożonej pielęgniarek.



- Chyba nie mogę znaleźć dwanaście czterdzieści pięć.

To utwierdziło ją w przekonaniu o mojej bezdennej głupocie, bo 1245 znajdował się tuż obok, przy jej biurku. Nie odezwała się do mnie, tylko spojrzała na drzwi, a potem przeniosła wzrok na mnie. Podziękowałem jej, ale nawet nie starała się ukryć, jak nisko mnie ocenia.

Tata i ojciec Gondalfo siedzieli w 1245. Zamarli na mój widok. Tata odwrócił się do mnie plecami. Ojciec Gondalfo zaczekał, aż usiądę na jednym z obitych skórą foteli.

- Mężczyzna i jego żona mają wiele problemów - zaczął.  
- Czasem wydaje się, że więcej, niż są w stanie udźwignąć. Wtedy tracą panowanie nad sobą. To bardzo ludzkie.

- Gdzie ona jest? - przerwałem. - Co z nią zrobili?

- Teraz to chciałby wiedzieć - parsknął szyderczo tata. - Po tym wszystkim, co zrobił.

Ojciec Gondalfo podniósł uspokajająco rękę. Tata to zignorował.

- Widziałem tego chłopaka, jak ją gonił po schodach. Musiała się zamknąć w klozecie. To wtedy się to stało, przy wbieganiu po schodach.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - odezwał się ksiądz. - Poczekajmy na to, co ma do powiedzenia lekarz.

- Mam nadzieję, że mojemu wnukowi nic nie jest - powiedział tata. - Zabiję go, jak coś się stało.

Miałem go dość.

- Och, zamknij się, tato.

Spojrzał błagalnie na księdza. W końcu jego słowa się potwierdziły. Wreszcie wykazałem swoją bezwartościowość. Jego ogrodniczki i znoszone buty nie poprawiały sytuacji.

Wtedy zjawiła się Joyce z doktorem Stanleyem. Była spokojna, potulna i wyglądała na bardziej ciężarną niż dotychczas.

- Proszę ją otulić i zabrać do domu - uśmiechnął się doktor.
- Wszystko w porządku? - spytał tata.
- Ależ tak. Proszę przyjechać za tydzień lub troszkę później.
- Tak mi wstyd - szepnęła Joyce.
- Często tak bywa. Proszę się nie przejmować.
- Nie było nic z pęcherzem płodowym - zapewniłem. - Po prostu dostaliśmy cynk.
- Ty znowu z tym pęcherzem płodowym - burknęła Joyce.

Była odmieniona, utemperowana. Sprawilo to głównie zażenowanie. Chciała już się stamtąd wynieść. Doktor podążył za nami, gdy ruszyliśmy gromadnie do windy. Joyce otuliła się futrem, chowając twarz. Niewiele było do powiedzenia. Opuuszczaliśmy to miejsce bez dziecka, z pustymi rękami. Wielki ksiądz górował nad nami. W kompletnym milczeniu czekaliśmy na windę. Tata wyglądał jak włóczęga. Stałem za słupem, kryjąc się przed wzrokiem cynicznych pielęgniarek. Byłem tak samo zażenowany jak Joyce. Bez przerwy przyjeżdżaliśmy tu i wyjeżdżaliśmy z tego szpitala. Ciągłe zadręczaliśmy lekarza. Prawdopodobnie wyrwaliśmy go z głębokiego snu. Nie odebrał porodu. Teraz jechaliśmy do domu. Procedura wydawała się nieskończona, wydłużała się na wieczność. Za tydzień powtórzymy wszystko od nowa.

Winda nadjechała i wsiedliśmy do niej: ciężarna kobieta, jej mąż, jej teść i jej przewodnik duchowy. Wraz ze starym windziarzem znalazło się nas tam pięcioro. Winda była olbrzymia

jak sala balowa. Mogłaby bez trudu pomieścić trzydzieści osób. Ale gdy stało się tam i po raz kolejny mówiło „do widzenia” uśmiechniętemu lekarzowi, prawie nie było czym oddychać. Kopiec pod futrem zdawał się zajmować całą windę. Upchnięci razem, zbici w gęstą ludzką masę, zjeżdżaliśmy w ponurym milczeniu. Dopiero gdy dotarliśmy na parter, powróciło poczucie wolności.

Wtedy Joyce oświadczyła:

- Zapomniałam torby.

Cała trójka spojrzała na mnie.

Czemu nie? Któżby inny?

Pojechałem windą z powrotem na dwunaste piętro. Torba stała obok biurka przełożonej pielęgniarek. Podniosłem ją.

- Chwileczkę.

- To torba mojej żony. Nie zostaje. Zapomniała jej zabrać.

- Jak się pan nazywa?

Powiedziałem jej.

- To nazwisko tego starszego pana.

- Jest moim ojcem.

- A pan jest mężem?

- Zgadza się.

Milczenie.

- Mogę wziąć torbę?

- Należy do pana, prawda?

Zjechałem na parter. Czekali na mnie na schodach przed wejściem.

- Idź po samochód - rozkazał tata.

Przyprowadziłem samochód. Tata i Joyce usadowili się na przednim siedzeniu. Ojciec Gondalfo przyjechał samo-

chodem należącym do plebanii. Podziękowaliśmy mu za fartygę.

- Taka jest wola boża - powiedział do Joyce. - I tak jest najlepiej. Teraz będziesz miała czas na dokończenie swych nauk.

Pożegnaliśmy się. Poszedł w kierunku parkingu, żwir chrząścił mu pod stopami. Ruszyłem w drogę. Joyce siedziała cicho, przepełniona smutkiem i nowo zdobytą wiedzą. Pochyliłem się i pocałowałem ją.

- Jak się czujesz?

- Bardzo zmęczona. I bardzo mi głupio.

Tata wydobył z siebie ciężkie westchnienie.

- Na syna potrzeba dużo czasu.

SPOKÓJ W MOIM DOMU, cisza, czas wielkiego ukojenia. Znow stała się zupełnie inną kobietą. Była teraz postacią z baśni, z powieści, z opowiadania o macierzyństwie, kobietą wyczekującą. Skończyło się kruszenie kamieni i mieszanie zaprawy murarskiej. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak pięknej. Stąpała cicho, snuł się za nią zapach innych perfum. Każdego ranka szła na wczesną mszę. Każdego popołudnia odwiedzała plebanię, gdzie pobierała nauki. Ojciec Gondalfo trochę się z tym spieszył, ale za jej naleganiem. Wieczorami chodziłem z nią do kościoła. Odmawiała różaniec, modliła się przy wszystkich stacjach Drogi Krzyżowej albo po prostu siedziała w milczeniu z rękami złożonymi na podołku.

To był dziwny czas dla mnie. Siedziałem obok niej, niezdolny do modlitwy ani wyrażenia uczuć do Chrystusa. Ale wszystko do mnie wróciło, wspomnienie dawnych dni, gdy byłem chłopcem, a to chłodne, melancholijne miejsce tak wiele znaczyło. Od początku zakładała, że z nią tam powrócę. Wydawało się, że tak należy zrobić. Pochwycić dawne

uczucie, sięgnąć palcami duszy i zagarnąć bogatą, wysublimowaną radość wiary. Jakoś zawsze czułem, że ona ciągle tam jest, że muszę jedynie ruszyć ku niej i szeptem wyrazić swe pragnienie, a ona skryje mnie w przepastnej i wygodnej macicy Boga. Zapach kadzidła, skrzypienie ławek, gra światła słonecznego przenikającego przez witrażowe okna, chłód wody święconej, śmiech maleńkich świeczek, zdumiewające cofnięcie się do starożytności, zbijające z tropu przekonanie, że niezliczone miliony były tu i odeszły, że kolejne miliardy przyjdą i odejdą w ciągu miliona jutro. Takie miałem myśli, gdy siedziałem obok swojej żony. Stopniowo też uświadomiłem sobie, że się myliłem, bo wcale nie tak łatwo wrócić do swego Kościoła, gdyż Kościół trwał zawsze niezmienny, ale ja się zmieniłem. Upływające lata pokryły mnie jak góra piachu. Niełatwo się wynurzyć. Niełatwo zawołać słabym głosem i poczuć, że zostałem usłyszany. Siedziałem obok niej i wiedziałem, że byłoby bardzo ciężko. Ej tam, wiedziałem, że to będzie niemal niemożliwe.

Siedziałem obok niej i napawałem się wrażeniami wywołanymi przez nowy rodzaj myśli. Bo tutaj myśli się zmieniały. Na zewnątrz, za ciężkimi dębowymi drzwiami, myślało się o podatkach i ubezpieczeniu, wyciszaniu dźwięku i przenikaniu obrazu, rozważało kwestię wyższości Manhattanu nad martini, podejrzewało swojego agenta o zdradę, przyjaciela o nielojalność, sąsiada o głupotę. A jednak mogłem siedzieć obok niej przy ołtarzu, jej małe dłonie wyglądały przepięknie w zielonych dziecięcych rękawiczkach i mogłem wielbić ją za piękno jej wysiłku, zmagania serca, przemożną siłę, która nakłaniała ją, by była jedynie dobrą kobietą, pokorną

i wdzięczną w obliczu Boga. Mogłem siedzieć obok niej, usta miałem wyschnięte z braku słów, ja, który parałem się tworzeniem zdań, a stronicze mojego umysłu były puste i niepiśmienne, ja zaś przewracałem je jedna za drugą w poszukiwaniu rymu, kilku pojedynczych słów, które mogłyby wyrazić to, że w tym miejscu nie myślałem o podatkach ani o ubezpieczeniu, ani o swoim agencie, mój sąsiad i przyjaciel stali się jacyś bezcieleśni, nabrali duchowości, piękna; byli jednostkami, a nie stworzeniami, duszami, a nie świniami.

Jednak pomimo wszystko nie byłem gotów. Urodzony jako katolik, nie mogłem skłonić siebie do powrotu. Być może zbyt wiele oczekiwałem; dreszczu radosnego rozpoznania, olśniewającej wspaniałości odrodzonej wiary. Cokolwiek to było, nie mogłem wrócić. Oto przede mną rozciągała się droga, drogowskazy jasno określały kierunek do spokoju ducha. Jednak nie mogłem jechać tą drogą. Nie mogłem uwierzyć, że to takie proste. Byłem przekonany, że za następnym wzgórzem czekają kłopoty.

Cztery dni przed narodzinami dziecka Joyce wstąpiła na łono Kościoła. Została ochrzczona jako Joyce Elizabeth. Cereemonia odbyła się wieczorem przy chrzcielnicy w kościele pod wezwaniem świętego Bonifacego. Jej matką chrzestną została nasza sąsiadka mieszkająca po drugiej stronie ulicy, pani Sandoval. Była to wysoka, pogodna kobieta po sześćdziesiątce. Ojciec Gondalfo wybrał ją, ponieważ mieszkała w pobliżu, a my nie znaliśmy żadnych katolików w tym mieście.

Szczęście Joyce niemal budziło przerażenie. Gdy ojciec Gondalfo odprawiał rytuał, najpierw po łacinie, a następnie po angielsku, łyzy ciekły jej po policzkach i rozbijały się na brzuchu. To jej szczęście było doprawdy wstrząsające. Nieomal pograżyło ją w żalu. Staliśmy z ojcem nieco w tyle, patrzyliśmy, słuchaliśmy jej szlochów, które roznosiły się echem po pustym kościele niczym łopot skrzydeł.

Wszyscy byliśmy bardzo poruszeni. Tata osuszał policzki wielką niebieską chustką. Pani Sandoval uśmiechała się dzielnie, nie wstydząc się swoich łez. Ceremonia była długa, bo ksiądz dał jej chrzest absolutny. Oczyścił on ją nie tylko z grzechu pierworodnego, lecz również z wszystkich grzechów, które popełniła w życiu. Szlochała bez przerwy, aż wreszcie ojciec Gondalfo również miał ściśnięte gardło i zamglone oczy, więc musiał przerwać ceremonię, by wygrzebać chusteczkę spod sutanny i otrzeć łyzy.

- Nie powinniśmy płakać - szepnął. - Trzeba się radować.

Te słowa wywołały świeży wybuch Joyce. Zaprowadziliśmy ją z tatą do jednej z ławek, gdzie uklękła ciężko, na twarzy miała rozmazany puder, tusz i łyzy.

- Przepraszam - załkała. - Bardzo przepraszam, ale nie mogę się powstrzymać. Jestem taka szczęśliwa.

- Cały makijaż ci się rozmazał - powiedziałem.

Natychmiast przestała płakać. Wyjęła puderniczkę i doprowadziła się do porządku. Bez słowa wróciła do chrzcielnicy i ceremonia mogła być kontynuowana. W spokoju, ze spuszczonej oczami, ze złożonymi rękami doświadczyła oczyszczenia duszy. I było po wszystkim. Dla Joyce, ale nie dla mnie.



Po ceremonii zebraliśmy się przed kościołem. Pani Sandoval miała dla Joyce prezent z okazji chrztu - srebrny medalik ze świętym Krzysztofem. Joyce była zachwycona swoją matką chrzestną. Ramię w ramię podeszły do samochodu pani Sandoval. Gdy starsza pani odjeżdżała, pomachaliśmy jej na pożegnanie.

Teraz nadeszła chwila, której się tak lękałem. Spojrzałem na żonę. Miała gwiazdy we włosach, gwiazdy w oczach, które, skąpane niedawno we łzach, lśniły teraz najwyższym szczęściem. Wydawało się absurdalne to, że jej nawrócenie może zrobić jakąś wielką różnicę, a jednak tak właśnie się stało. Nie była już dawną Joyce. Nie była nawet tą Joyce sprzed godziny. Chemia tej przemiany zdawała się niepojęta, jedynie ją czułem, doznawałem, widziałem. Odczuwałem dojrzałość, przymioty kobiecości niezwiązane z jej ciążą; tradycję, raczej identyfikację z Matką Kościołem, czią, jaką Kościół otaczał kobiety, wyniesienie kobiety do tego stanu, jaki miała dla mnie jako chłopca Maryja Dziewica. Popatrzyliśmy na siebie i w tej chwili ona również zrozumiała, że wyczułem zmianę, wszechograniającą przemianę jej osobowości. Popatrzyliśmy na siebie i w tej chwili każde z nas wiedziało, że ten wieczór jest kamieniem milowym w naszym życiu, że nasze życia razem są niezmiernie ważne, straszliwie serio. Ale to była również smutna chwila, bo wysoko ceniłem różne drobiazgi w życiu, błahostki, wygłupy, a to już pozostawiliśmy za sobą.

Ojciec Gondalfo otoczył mnie swą ciężką ręką z wielką dłońią.

- I cóż, jest pan gotów?

Chodziło mu o to, czy jestem gotów do spowiedzi.

Chciałem powiedzieć: Nie, ojcze.

Powiedziałem:

- Tak, ojcze.

- Dobrze. Jutro możecie razem przyjąć Komunię Świętą. Msza będzie dla was. Potem udzielę wam ślubu przy głównym ołtarzu.

- Dobrze, ojcze.

Wróciliśmy do kościoła. Ksiądz przykląkł i ruszył nawą boczną w kierunku jednego z konfesjonałów. Wejście do każdego z nich zasłaniały ciężkie purpurowe firany. Ojciec Gondalfo zniknął wewnątrz środkowego konfesjonału. Zapalił światło. Joyce, tata i ja przeszliśmy kawałek nawą główną i usiedliśmy w ławce na wprost konfesjonału.

Ukląknęłam, by zrobić rachunek sumienia. Po piętnastu latach znów szedłem do spowiedzi. Jakie grzechy popełniłem w ciągu półtorej dekady? Miałem przed sobą ciężkie zadanie. Było tak przytłaczające, że nie mogłem brać go na poważnie. Co gorsza, nie odczuwałem skruchy. Niczego nie żałowałem. Dobro i zło, cieszyłem się tym wszystkim. Gest rąk księdza udzielającego rozgrzeszenia wydawał mi się bez znaczenia. Nie mogłem, nie zamierzałem wejść do konfesjonału. W dawnych czasach krew we mnie grała na zew absencji. Ochoczo padałem na kolana, wylewałem swoje zmartwienia, stawałem się oczyszczony i odchodziłem z wzmocnionymi mięśniami czystego serca. Uczępiłem się przeszłości. Nic tam nie znalazłem.

Czas płynął, piętnaście minut, pół godziny, a ksiądz cierpliwie czekał. Zmagania z własnym sumieniem mnie wycieńczyły. Jak mógłbym spowiadać się z czegoś, co nie

wywoływało we mnie żadnej skruchy? Ze znużeniem przysunąłem się do Joyce i taty.

- Nie mogę tego zrobić.

Tata spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

- Spróbuj, proszę - uśmiechnęła się Joyce.

- Nie mogę. To hipokryzja.

Tata pospiesznie zasięgnął opinii Joyce.

- Co z nim nie tak?

- Nie chce iść - odpowiedziała szeptem.

- Przecież musi! - podniósł głos.

Pokręciłem głową.

- Nie mogę, tato.

- Rusz się!

- Mówię ci, że nie mogę.

- Niedobry chłopak. Ruszaj się, włącz tam!

Chwycił mnie za kark i próbował popchnąć w stronę konfesjonału. Przywarłem do ławki i ani drgnąłem. Twarz starszuszka poczerwieniała z wysiłku. Nagle zerwał się na nogi i zbliżył szybko do konfesjonału. Patrzyliśmy na niego zaskoczeni. Odwrócił się, by spojrzeć na nas, miał desperację w oczach. Potem wszedł do konfesjonału.

Dowiedziałem się później, że była to jego pierwsza spowiedź od pięćdziesięciu pięciu lat. Nigdy nam nie wytłumaczył, dlaczego się na nią zdobył. Jestem pewien, że wcale nie zamierzał tego zrobić, nawet przez myśl mu to nie przeszło. Ale we własnym przekonaniu zrobił tę rzecz dla mnie, dla swego wnuka, bo należało ją zrobić.

Jego spowiedź miała charakter kłótni. Odbywała się po włosku - bulgotliwa dyskusja, niewyraźna i pełna emocji.

Gdy tylko ojciec Gondalfo odezwał się choćby słowem, ojciec odpowiadał mu ostrym tonem. Wtedy z kolei ksiądz podnosił głos. Rozmawiali również za pomocą rąk, bo zasłonki wciąż falowały. Wreszcie głos spowiednika przeważył. Tata nie odezwał się ani słowem. Ksiądz przemawiał łagodnie, przekonująco, kojącym szeptem. Gdy się pokazali, obydwaj byli zmęczeni i spoceni. Tata opadł na kolana w najbliższej ławce. Ojciec Gondalfo uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu. Tata zasłonił twarz rękoma, by nie rozpraszać się podczas odmawiania pokutnej modlitwy. Ksiądz rzucił mi niechętne spojrzenie. Wstałem i wyszedłem z kościoła. Czekał na mnie na schodach.

- Co się stało?

- Nie mogłem się na to zdobyć.

- Chciałby pan innego spowiednika? Mógłbym zawołać ojca Shawa. Czy to by pomogło?

- Nie sędzę.

- Gorzko mnie pan rozczarował. Oczywiście wie pan, co to oznacza?

Wiedziałem: znaczyło to, że nie znajduję się w stanie łaski. Znaczyło, że nie mogę nazajutrz przyjąć komunii wraz z Joyce. Znaczyło, że nie mogę otrzymać świętych sakramentów, a ślub jest sakramentem.

- Przykro mi, ojczu. Będę się starał.

Odwrócił się do Joyce i taty, którzy wyszli z kościoła. Powiedzieliśmy sobie „dobranoc”. Ojciec nie chciał na mnie patrzeć. Poszliśmy do samochodu. Wziąłem Joyce za rękę.

- Budzę w tobie wstręt.

- Oczywiście jestem rozczarowana.

- Daj mi trochę czasu. Pewnego dnia się na to zdobędę.  
- Tego właśnie nie mogę pojąć. Skoro i tak powrócisz kiedyś do Kościoła, to dlaczego nie teraz?

- Nie wiem.

- Ja też.

- Pójdę pieszo - oświadczył tata.

Patrzyliśmy, jak idzie w kierunku skrzyżowania. Maszerował żwawym, sprężystym krokiem. Zatrzymał się pod latarnią, by przypalić cygaro. Dym popłynął ku nam, aromatyczny w nocnym powietrzu. W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy. Zamknąłem garaż i weszliśmy do domu. W milczeniu weszliśmy na górę. Zawahałem się przed swoimi drzwiami w nadziei, że się do mnie odezwie. Weszła do swojego pokoju, nie odwróciwszy się nawet. Zdjąłem płaszcz i rzuciłem się na łóżko. Nie byłem w stanie odczuwać żalu z powodu tego, co zrobiłem, ani żadnych wyrzutów sumienia. Do rozpaczki doprowadzało mnie to, że nie odczuwałem ani krztyny skruchy. Byłem przez to poraniony i nieszczęśliwy.

Wtedy weszła ona, biały balon płynął pod jej koszulą nocną, w rękę trzymała książkę. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Chcę ci coś przeczytać - powiedziała.

I zaczęła:

„O ojcze, o matko, o żono, o bracie, o przyjacielu, moje dotychczasowe życie z wami było pełne pozorów. Odtąd należę do prawdy. Niechaj będzie wam wiadome, iż odtąd nie uznaję żadnych praw poza prawem wiecznym. (...) Odwołuję się do waszych zwyczajów. Muszę być sobą. Nie mogę dłużej naginać samego siebie dla ciebie czy dla ciebie. Jeśli może-

cie kochać mnie takim, jaki jestem, będziemy szczęśliwsi. Jeśli nie możecie, będę dążył do tego, by na to uczucie zasłużyć. Nie będę ukrywał swych upodobań ani krył się z tym, czego nie lubię".

- Emerson - powiedziałem. - Och, kochany człowiek.

Pochyliła się i pocałowała mnie.

- Dobranoc - szepnęła.

Niech będzie błogosławiona macica, która nosi mego syna!

Rozpłakałem się ze szczęścia.

# 9

TAMTEJ NOCY, gdy to nastąpiło, graliśmy w szachy. Spodziewaliśmy się tego w każdej chwili, nasze życia zastygły w oczekiwaniu na przyjście dziecka, i to była ta noc. Tata ukończył kominek. Bardzo się pospieszył z pracą, bo najważniejsze było to, by rzecz zakończyć i przygotować dla nowego Fantego jak opakowany prezent obwiązany różową wstążeczką. Cały dom dyszał wyczekująco. Nowy nadchodził, a nam niejako doskwierała samotność, bo jeszcze go nie było. Ciężka praca zmęczyła tatę i poszedł już do łóżka.

- Zawołajcie mnie, jakby się coś działo - powiedział.

O dziesiątej siedzieliśmy przy szachownicy i to był mój ruch.

- Twoja królowa jest w niebezpieczeństwie - powiedziała.

Przestawiłem laufra i królowa była już bezpieczna. Teraz był ruch Joyce. Była szybkim graczem, ale tym razem długo nie wykonywała żadnego ruchu; wydało mi się, że zbyt długo, więc oderwałem spojrzenie od szachownicy i spojrzałem na jej twarz, zastanawiając się, co ją wstrzymuje.

- Twój ruch.

Nie słuchała, tylko patrzyła mi w oczy z zarumienioną twarzą, ciężko oddychając, aż jej policzki stały się bardzo czerwone i zauważyłem, że pochłania ją jakaś ciekawa aktywność wewnątrz niej samej.

- Coś wystrzeliło - wyszeptwała.

- Wystrzeliło? Niby co? Nic nie słyszałem.

- Nie wiem. Ale wyraźnie słyszałam takie „puk”.

Słuchaliśmy. Zakryła usta.

- Ojej, to pęcherz płodowy.

- Jedźmy do szpitala.

Zawahała się, zanim wstała.

- Proszę - uśmiechnęła się - nie patrz. Zakryj oczy.

Zasłoniłem oczy, gdy wstała i ruszyła przez pokój. Słyszałem, jak bez tchu drepcze w górę po schodach, powtarzając wciąż „ojej”, „ojejku”, „o mój Boże”. Gdy wiedziałem, że zniknęła mi z oczu, zadzwoniłem do lekarza. Z sypialni na górze dobiegł mnie stukot obcasów Joyce. Pobiegłem tam. Siedziała na łóżku, czytając poradnik *Narodziny dziecka*.

- Powinniśmy już jechać. Zadzwoniłem do lekarza.

- Tym razem chcę być pewna. Absolutnie pewna.

- Zaczęło się. Jestem pewien.

- Posłuchaj - zaczęła czytać: - „Na początku porodu ból zaczyna się w okolicach krzyża. Jest to najpierw jakby szczypanie albo rwanie w krzyżu, a następnie ból gwałtownie narasta, aż osiągnie apogeum, które trwa przez kilka sekund, po czym ból stopniowo maleje...”.

To, o czym przeczytała, zdarzyło się w tej właśnie chwili. Książka wypadła jej z rąk, a ona siedziała zupełnie nieruchomo,



wpatrzona w brzuch. Jej ręce poruszyły się i dotknęły go, pomacały.

- Skurcze macicy - powiedziała. - Strona sto pięćdziesiąta ósma. Przeczytaj.

Podniosłem książkę z podłogi, ale miałem zbyt wiele rąk, zbyt wiele palców. Nie mogłem nawet utrzymać książki. Upadła na podłogę. Ból się spotęgował, a potem odpuścił. Gwizdnęła cicho.

- Jestem gotowa, możemy jechać.

Tym razem było łatwo. Przeciwczyliśmy to wszystko poprzednio. Cicho podreptaliśmy do holu, wsłuchując się w świszczące pochrapywanie taty, a potem zeszliśmy na schody. Bez słowa wyjaśnień uznaliśmy, że lepiej go nie budzić. Joyce przystanęła pod sztucznym drzewkiem pomarańczowym na tylnym podwórku i otoczyła mnie ramionami.

- Byłeś wspaniały - powiedziała. - Już nigdy więcej nie będę narzekać.

- Jedźmy już, kochanie.

- Mamy czas. Chcę, byś wiedział, że bardzo źle się zachowywałam przez te dziewięć miesięcy. Byłam zupełną idiotką. Naprawdę, urodzić dziecko to nic wielkiego. To bardzo łatwe.

- Jeszcze go nie urodziłaś, kotku. Jedźmy.

Pociągnąłem ją do garażu. Wsiadła do samochodu i usadowiła się daleko ode mnie, przy samych drzwiach. Wygrzebała z torebki paczkę papierosów i mnie też podała jednego.

- Przypalić ci? - spytała.

- Poproszę.

- Niektórzy mężczyźni wolą sami sobie przypalać.

Uwaga wydała mi się dziwna, ale się nie odezwałem. Jechaliśmy niespiesznie, bo byliśmy przecież starymi wyjadaczami. Po co nam pośpiech. Noc była ciepła i czuło się zapach wielkich białych magnolii rosnących przy Normandii. Gdy zatrzymaliśmy się na światłach przy bulwarze, znów chwycił ją ból. Był silniejszy. Widziałem, jak złapała za klamkę przy drzwiach i go przetrzymała.

- Ciężko - powiedziałem.

Pot wystąpił jej na czoło. Wywróciła oczy z bólu. Ogromny bandzioch zdawał się wgniatać ją w kąt samochodu. Był jak wielki ul pełen pszczoł rojących się z bólu. Gdy skurcz minął, Joyce wydała z siebie ciche westchnienie ulgi.

- To nic takiego - zapewniła. - Oczywiście trochę boli, ale wcale nie jest tak, jak mówiła moja matka.

- Dojedziemy za pięć minut.

- Tak się cieszę. Wtedy się mnie pozbędziesz. Nie cierpię obarczać cię tym wszystkim.

- Wcale mnie nie obarczasz.

- Przez całe życie byłam ciężarem. Taki już los kobiet. Nie jesteśmy takie znowu miłe, naprawdę.

- Głupstwa opowiadasz.

- Wcale nie. Spójrz na mnie, jestem krową, oto czym jestem. Groteskowa i nieciekawa. Nikt nie mógłby mnie kochać. I nie wolno ci już nigdy mówić, że mnie kochasz. Bo przecież wiem, że nie możesz. Nie zasługuję na twoją miłość. Jaki ty byłeś dobry! Jaki cierpliwy! Jestem ci strasznie wdzięczna. Wybacz mi wszystko.

Zaczęła płakać, jej napięta nalana twarz była zbyt okrągła, by zatrzymać łzy, które spływały jej na kolana.

Znów chwycił ją skurcz, zacisnęła zęby i pięści, dopóki nie minął.

- Nie jestem zbyt odważna - zipnęła. - Ale wcale nie chcę być odważna. Chcę tylko wczłogać się do jakiejś nory, gdzieś poza zasięgiem twego wzroku, i cierpieć, cierpieć, bo na ciebie nie zasługuję. Cieszę się, że cierpię. Byłam głupia. Zasługuję na to.

Przez jej słowa poczułem się bardzo nieszczęśliwy. Siedziała z szeroko rozstawionymi nogami, podskakującym bebeczem, twarzą, która wyglądała jak poznaczona łzami piłka do koszykówki, i na chwilę zapomniałem, że to wszystko jest tylko przejściowe, wciągnął mnie podjęty przez nią temat nieszczęścia i zacząłem myśleć, że istotnie jestem bardzo biedny, skoro związałem się na zawsze z tym rozdygotanym bulgoczącym cielskiem. Jechałem dalej z mokrymi oczami, roniąc łzy nad sobą, zafascynowany własną odwagą i niesłabnącą lojalnością. O, bez wątpienia miała rację! Jakże byłem szlachetny, ileż się nacierpiałem! Teraz była skazana na cierpienie, dobrze, że zazna bólu, bo odpokutuje w ten sposób to, jak potwornie traktowała mnie podczas ciąży. A jaka była przenikliwa, gdy nadszedł dzień pokuty! Jak wysubtelniało jej poczucie moralności. Dzięki Bogu wreszcie dostrzegła niegodziwość swego postępowania.

Gdy dotarliśmy do szpitala, wjechałem na łukowaty podjazd prowadzący pod kamienne zadaszenie, gdzie podjeżdżały ambulanse. Joyce została w samochodzie, a ja wszedłem do środka. W recepcji podpisałem dokumenty zwalniające szpital z wszelkiej odpowiedzialności za to, co może się w nim stać z moją żoną, a recepcjonistka tymcza-

sem wezwała telefonicznie pielęgniarki z fotelem na kółkach. Gdy wróciłem do samochodu, dwie siostry pomogły już Joyce usadowić się w wózku i otuliły ją kocami. Patrzyłem, jak wiozą ją do windy. Potem zaparkowałem samochód i wróciłem do szpitala z walizką Joyce. Wsiadłem do windy i wjechałem na dwunaste piętro.

Dwunaste piętro było mi już doskonale znane. Gdy drzwi windy się rozsunęły, wymaszerowałem z niej z pełną swobodą. Na końcu czystego korytarza wyłożonego gumowym dywanem ujrzałem dwie pielęgniarki, które wwoziły moją żonę przez jakieś drzwi. Joyce wykręciła głowę do tyłu i zobaczyła, że za nią podążam. Fotel na kółkach stanął, a siostry zatrzymały się w drzwiach. Odwróciły wózek tak, by Joyce mogła mnie widzieć. Z uśmiechem wyciągnęła do mnie ręce.

Zduśiłem w sobie nagłą radość. Jak może być na świecie tyle piękna? Te jej ręce wyciągnięte ku mnie, te delikatne palce, ku mnie; jej oczy, ku mnie; jej usta, wargi, ku mnie, wylewające ku mnie miłość i tajemnicze łamiące serce piękno, więc chyba już biegłem z walizką w rękę, jakbym nie widział Joyce przez dziesięć tysięcy lat, a pamiętał ją w każdej sekundzie, i wreszcie byliśmy razem na zawsze, mój bezmierny smutek został ukojony i wszystko w moim życiu, cały dobytek, ambicje, przyjaciele, kraj, mój świat niby nic, mniej niż ziarenka piasku w obliczu piękna i radości tej cudownej i bolesnej chwili. Otoczyłem ją ramionami i zacząłem płakać. Zsunąłem się na kolana, szczęśliwy potwornym, druzgoczącym szczęściem, które niemal zabiło mnie swą straszliwą mocą. Mógłbym tu i teraz wylać z siebie życie, tak wielką radość budziła we mnie moja kobieta.

- No, no - powiedziała jedna z pielęgniarek. - Niech pan przestanie.

Wstałem i ucałowałem Joyce.

- To mój mąż - oświadczyła z uśmiechem. - Czyż nie jest kochany?

Nie zrobiłem na nich wrażenia. Krzątały się wokół Joyce, otulały kocami, a potem wprowadziły wózek do pokoju.

Drzwi zamknęły się przede mną. Pokój miał numer 1237. To był dobry omen, bo zawierał moją szczęśliwą liczbę. Zerknąłem na zegarek. Była 11.05. Ruszyłem korytarzem, mijając wiele drzwi. Nagle usłyszałem ryk, od którego włosy stanęły mi dęba. Dobiegł z pokoju obok windy, był to kobiecy krzyk bólu. Chwilę później mijałem drzwi pokoju, w którym rozległ się wrzask. Zza drzwi doleciały jęki i płacz, jakby ktoś łkał z twarzą wtuloną w poduszkę. To było żałosne, budzące litość zawołanie i bardzo mnie przygnębiło, bo wiedziałem, że być może Joyce czeka to samo.

W poczekalni znajdowało się jeszcze dwóch innych ojców. Byli to wycieńczeni mężczyźni z rozpiętymi kołnierzykami, rozluźnionymi krawatami. Wyglądali, jakby uczestniczyli w bezkrwawej, niekończącej się karczemnej burdzie. Siedzieli rozwaleni w skórzanych fotelach, z potarganymi włosami, papierosami dyndającymi im w palcach i w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Wziąłem jakieś pismo i usiadłem. Jeden z ojców wstał i zaczął się przechadzać. Zaciągał się króciutkim niedopałkiem, który parzył go w usta, gdy przytykał do nich resztkę papierosa, jakby go całował. Teraz drugi ojciec podniósł się z miejsca i również zaczął spacerować. Chodzili tam i z powrotem, nie zwracając na siebie żadnej

uwagi, w furii miotania się po klatce, czoła mieli zmarszczone, każdy z nich w potrzasku napięć swego pulsującego umysłu.

Około północy wyższa z dwóch pielęgniarek, które zajmowały się Joyce, pojawiła się w drzwiach. Jak zbite psy dwaj ojcowie utkwili w niej swe przekrwione oczy. Ale jej chodziło o mnie.

- Może pan teraz zobaczyć żonę.

Dwaj ojcowie spojrzeli na mnie z rozdziawionymi ustami, obserwowali, jak przecinam pokój i wychodzę przez drzwi. Tak jakby zobaczyli mnie po raz pierwszy i zdziwiło ich, że byłem z nimi w pokoju.

Poszedłem za wysoką pielęgniarką.

- Nie może pan zostać zbyt długo - uprzedziła. - Żona potrzebuje wypoczynku.

Joyce leżała w szpitalnej koszuli zawiązanej na plecach. Włosy miała zaczesane w ciasny wysoki koczek. U wezgłowia łóżka były uchwyty. Uśmiechnęła się, twarz miała rozpaloną, z oczu wyzierał jej strach. Ująłem ją za rękę.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. Ogołono mnie i zrobiono mi lewatywę.

- Czy są dobrymi fryzjerkami?

- Świetna robota. Spodoba ci się.

Ucieszyłem się, że przeszła jej ochota do okazywania skruchy. Ale niewiele było do powiedzenia. Trzymaliśmy się za ręce, uśmiechaliśmy głupawo i gapiliśmy się na siebie. Wysoka pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Teraz będzie pan musiał wyjść.

Ucałowałem Joyce i wyszedłem na korytarz.

- Jak długo to potrwa?

- Długo - odparła pielęgniarka. - Może pojedzie pan do domu i trochę się prześpi?

- Nie mogę. To byłoby nie w porządku.

- Niech pan nie będzie niemądry. Lekarz zjawi się tu najwcześniej o ósmej rano.

- Chce pani powiedzieć, że ona tak długo będzie się męczyła?

- Ona się nie męczy. A pan nic nie może tu zrobić. Zupełnie nic.

Ale mężczyzna nie może odejść, pozostawiwszy ciężarną żonę samą w pokoju. Wydawało się, że to rzecz niesłychana, zachowanie prostackie i bezduszne. Nawet jeśli siostra miała rację, tradycja nakazywała mi pozostać.

- Zostanę tu do końca - oświadczyłem.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

- Raz na jakiś czas zdarza nam się rozsądny ojciec, ale niezbyt często.

Wróciłem do poczekalni.

Do dwóch pogrążonych w samoudręce ojców dołączył nowy. Był starszy, gładko wygolony, schludnie odziany w brązowy garnitur. Wydzielał z siebie słodkie wyziewy braterstwa i zrozumienia. Mizeraki znalazły w nim pełnego współczucia słuchacza. Każdy z nich zabrał głos, by opowiedzieć o swej niedoli. Pierwszy mężczyzna oznajmił, że jego żona rodzi od trzynastu godzin. „A tak dokładnie trzynaście godzin i czterdzieści dwie minuty”, dodał, spojrzawszy na zegarek. Starszy facet smutno cmoknął językiem. Jego rozmówca odłożył zegarek, usiadł, wbił ręce w czuprynę i podjął na nowo swe

katusze. Drugi ojciec oblizał suche, spękane usta, a jego zapuchnięte oczy spoczęły na starszym mężczyźnie, który odwrócił się teraz ku niemu - sama łagodność i mądrość - by wysłuchać kolejnej historii. „Moja stara jest tam od szesnastu godzin i dwunastu minut”, powiedział ze skromnym uśmiechem. To dało mu trzygodzinną przewagę nad pierwszym ojcem, który ze wstydu zwiesił głowę. Jednak choć drugi ojciec poczuł na chwilę smak zwycięstwa, zostało ono błyskawicznie odebrane przez spokojnego starszego faceta.

- Gdy rodził się Billy - to nasz najstarszy syn - poród pani Cameron trwał pięćdziesiąt trzy godziny.

Rekord czasowy pani Cameron dawał tak miażdżącą przewagę, że dwóch wymizerowanych ojców szybko straciło zainteresowanie dla uprzejmego starszego pana, który teraz mnie z kolei obdarzył swym wspaniałomyślnym uśmiechem. Lecz ja dość już się nasłuchałem. Ci mężczyźni się przechwalali, odnajdywali absurdalne pocieszenie w cierpieniu swych żon. Pielęgniarka miała rację. Postanowiłem pojechać do domu.

Gdy położyłem się do łóżka, była 1.30. Z pokoju taty dobiegało świszczące pochrapywanie. Nie wiedział, że Joyce jest w szpitalu. Uznałem, że lepiej go nie budzić. Zapaliłem po ciemku papierosa i czułem, jak dżgają mnie paluchy poczucia winy. Czy postąpiłem słusznie? Może tradycja jest zdrowa? Żona mężczyzny rodzi: czyż nie powinien pozostać bezsenny i ofiarować nieco własnoręcznie zadanego sobie bólu jako symbolu chęci uczestniczenia w ich wspólnym dziedzictwie? Bądź co bądź, wysoka siostra nie była zaangażowana w tę sprawę. Rozumowała jak chłodny naukowiec.



A może w nadchodzących latach nasze dziecko przepełni rozgoryczenie, kiedy się dowie, że jego ojciec spał twardo, podczas gdy ono przedzierało się przez niebezpieczne przejście z macicy do życia na ziemi. Wierciłem się nerwowo, borykając się z tymi rozmyślaniami do trzeciej nad ranem.

Wtedy nagle wróciło do mnie piękne i szlachetne wspomnienie. Wyskoczyłem z łóżka i wyjąłem z szafy swoją torbę podróżną. Znalazłem to w bocznej kieszonce, zwiędły bukiet bazylii przewiązany czerwoną wstążeczką. Nie mogłem sobie przypomnieć dokładnie wskazówek mamy. Pamiętałem tylko, że trzeba było powiesić bukiet przy łóżku. Przyczepiłem go do poprzeczki przy wezgielciu, tak że opadał mi na poduszkę. Potem się położyłem, wdychając jego słodki i pikantny aromat, i niejako była to woń włosów mojej matki, i jej ciepłe oczy uśmiechnęły się do mnie, a ja zacząłem płakać, bo nie chciałem być ojcem ani mężem, ani nawet mężczyzną, chciałem być znów sześć- albo siedmioletnim chłopcem zasypiającym w ramionach matki, i wtedy zapadłem w sen, i śniłem o matce.

Obudził mnie ojciec. Była siódma rano.

- Ktoś chce rozmawiać.

Wyskoczyłem z łóżka i pogałem na dół do telefonu. Dzwoniono ze szpitala. Pielęgniarka poinformowała mnie, że Joyce jeszcze nie urodziła dziecka, ale wszystko z nią w porządku.

- Czy ma bóle?

- Zawsze jest trochę bólu.

- Zaraz przyjadę.

- Myślę, że pan powinien.

Tata stał przy mnie i słuchał.

- Dziecko się rodzi, tato. Lada moment.

Cygaro zadrżało mu w ustach.

- Gdzie jest Joyce?

- W szpitalu. Zawiozłem ja tam w nocy.

Pobiegłem na górę, by się ubrać. Gdy zszedłem do samochodu, tata już tam czekał, siedząc na przednim siedzeniu. Dotarliśmy do szpitala i wjechaliśmy windą na dwunaste piętro. Pielęgniarka wprowadziła tatę do poczekalni. Poblądły i przerażony, patrzył, jak pędzę korytarzem do pokoju Joyce.

Leżała w małym oceanie bólu, wyziewy jej cierpienia unosiły się w pokoju niby chmury. Leżała na skotłowanych przescieradłach mokrych od potu, z wykrzywionymi ustami, zacisniętymi zębami, jej oczy przypominały mleczne kulki. Na początku mnie nie zauważyła, ale gdy zamknąłem drzwi, wypłynęła z fal swego cierpienia, zacisnęła palce na żelaznej poprzeczce u wezgowia i podciągnęła się do pozycji siedzącej. Biały balon był jak ogromny bąbel rozmigotany bólem, zbyt ciężki dla dzikiej siły jej bezkrwistych palców. Dyszała z wycieńczenia, oddech wydobywał się w ostrych szarpnięciach przez usta wykrzywione w męczarniach.

Wtedy dotarło do niej, że stoję w nogach łóżka. Popatrzyła na mnie z przerażeniem w oczach. Moje serce wyrwało się do niej, współczując nieznośnego bólu. Nie potrafiłem znaleźć słów pocieszenia, jedynie same komunały, jakieś mętne wyrażenia, pułapki jałowego języka, żałośnie niedoskonałe.

Gdy tak stałem z wyschniętym gardłem, chwycił ją skurcz. Podkuliła kolana, a z jej ust wydobył się zwierzęcy pisk, czy raczej stłumiony skowyt. Miał swój rytm i można go było zmierzyć; cienka, wijąca się wstążeczka dźwięku przeciągnięta między jej zębami. Gdy skurcz minął i ból ucichł, westchnęła z wdzięcznością i odgarnęła do tyłu mokre potargane włosy, oczy wbiła w sufit. Wtedy przypomniała sobie o mojej obecności.

- Och, jestem takim tchórzem - jęknęła.

- Wcale nie.

Podszedłem do niej z boku. Łóżko miało podnoszone stalowe siatki jak w tych dla niemowląt. Gdy schyliłem się, by ją pocałować, zobaczyłem jej czerwone usta, wargi nabrzmiałe zmysłowością bólu. Ujrzałem białe płomienne oczy i owdąnęło mną jej cierpienie. Ale w jej ustach była namiętność i przywarła do mnie tak żarliwie, że musiałem włożyć całą siłę swych grubych nadgarstków, by wyswobodzić się z jej uścisku. Kocham cię, jęknęła, kocham, kocham, kocham.

Potem znowu szarpnęły nią skurcze i rzucały jej ciałem na boki; kolana w górze, palce wpijające się w barierkę u wezłowania łóżka, sącząca się wstążeczka cierpienia. Gdy ból przycichł, białe oczy omiotły mnie spojrzeniem niby trzepotliwe ptaki i wówczas ból dotarł również do mnie, poczułem straszliwy skurcz żołądka. Niemal zgąłem się w pole. Cofnąłem się do krzesła i usiadłem. Patrzyła na mnie.

- Jesteś chory - powiedziała. - To wszystko cię wykańcza.

- Czuję się dobrze.

- Wypij to - zipnęła i sięgnęła po szklanekę wody stojącą na stoliku przy łóżku. Jednak bóle chwyciły ją znowu, wiła

się więc i skręcała, wylewając wstążkę jęku z gardła. Ja też zgiąłem się z bólu, ale nie krzyknąłem, tylko jęknąłem, gdy szarpały mną te szalone wstrząsy jak po zielonych jabłkach.

- Kochanie - rzuciła. - Wezwij lekarza. Przecież widzę, że jesteś chory!

- Ja? Czuję się świetnie.

Ale zauważyłem swoje odbicie w lustrze ściennym, miałem wybałuszone oczy, byłem blady, wściekły i pełen obrzydzenia do samego siebie.

- Nie martw się o mnie - sapnęła. - Świetnie mi idzie. Skurcze całkiem minęły. Spójrz! - Wyciągnęła ramiona i uśmiechnęła się.

Gdy tylko się odwróciłem, by na nią spojrzeć, znowu chwyciły ją skurcze i walczyła z nimi ze złagodniałymi, szklistymi od łez oczami, a gdy znów było po wszystkim, zakryła twarz rękami i zasłochała.

- O Boże! - załkała. - Dłużej już nie wytrzymam.

Zrobiłbym dla niej wszystko, oddałbym oba ramiona, stopy, dłonie, życie, oddałbym to wszystko, byle złagodzić jedno ukłucie bólu, ale stałem tam tylko, nie mogąc znieść zwykłych skurczów żołądka, z powodu których wykuśtykałem wreszcie, zgięty w pół, na korytarz.

W moją stronę szli właśnie doktor Stanley i pielęgniarka niosąca tacę pełną fiolek i strzykawek.

Popatrzyli na mnie w milczeniu. Doktor Stanley wziął jakąś fiolkę z tacy pielęgniarki i wysypał jedną pigułkę na dłoń.

- Proszę to połknąć - powiedział.

Szybko spełniłem jego polecenie.

- Moja żona jest w bardzo złym stanie, doktorze.

Ominęli mnie i weszli do pokoju Joyce. Czekałem. Ból brzucha minął. Po kilku minutach wyszli, lekarz zacierał ręce.

- Świetnie jej idzie.

- Ale ona przeraźliwie cierpi, doktorze.

- Bzdura. Dostała skopolaminę. Nic nie będzie pamiętała. Zabieramy ją na salę porodową.

Gdy wywieźli jej łóżko z pokoju i ruszyli korytarzem, z początku przystanąłem, przywarłszy do ściany w obawie, że moja obecność może Joyce zdenerwować. Jednak gdy przejeżdżała obok mnie, zobaczyłem, że śpi. Musieli jej coś dać, bo miała zamknięte oczy, a odmieniona twarz była pełna niewinnego powabu. Szedłem korytarzem przy jej boku. Raz jęknęła. Był to pomruk kogoś, kto osiągnął niewysłowny spokój po wielu godzinach w burzy. To mnie również uspokoiło. Teraz wiedziałem, że wszystko jest w porządku, że dziecko wkrótce się urodzi, a z Joyce wszystko będzie dobrze.

Wróciłem do poczekalni. Tata siedział w jednym z wielkich foteli z założonymi rękami, w żelaznych okowach milczenia.

- Już niedługo - powiedziałem.

- Co? - szepnął. - Jeszcze nic?

- Zabrali ją na salę porodową.

- Co oni wyprawiają?

- Robią wszystko, co mogą.

Burknął coś pod nosem, a ja wiedziałem, że w jego przekonaniu konspiruję ze szpitalem, żeby powstrzymać dziecko przed przyjściem na świat. Wbił wzrok przed siebie i więcej się nie odezwał.

W poczekalni siedział nowy komplet ojców, ale ich gadki były wciąż te same, mądrości ludowe wygłaszane przez skonsternowanych mężczyzn. Nie mogłem tam zostać. Myśląc o kawie, zostawiłem tatę w poczekalni i zjechałem windą do szpitalnej restauracji na parterze.

Było tam pełno pielęgniarek, lekarzy i stażystów. Usiadłem przy kontuarze i zacząłem studiować jadłospis. Ale na nic nie miałem ochoty. Pomimo wszystko bardzo się martwiłem. Wyszedłem bocznym wyjściem na ulicę.

Ranek był ponury. Wisiała ciężka i ciepła mgła. Zapaliłem papierosa i ruszyłem chodnikiem prowadzącym wokół szpitala. Był obrośnięty po bokach nienagannie przyciętym wysokim żywopłotem z eugeniei, a ten zielony korytarz prowadził do ogrodu, w którym fontanna rozpylała wodę wśród wielkich czerwonych głązów. Obszedłem fontannę, a wodna mgiełka ucałowała moją twarz chłodnymi ustami. Przez mgłę dostrzegłem zarys gotyckich drzwi. Tam była kaplica szpitalna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zacząłem płakać, bo Tego szukałem, krańca pustyni, mego domu na ziemi. Z zapalem wbiegłem do kaplicy.

*Pax vobiscum!* Kaplica była mała, wyposażona jedynie w krucyfiks i główny ołtarz. Ukląkłem, gdy zalała mnie fala skruchy, grzmiąca katarakta, której ryk dudnił mi w uszach. Nie było potrzeby się modlić. Całe moje istnienie zagubiło się w głębokim prądzie niby fale powracające do brzegu. Siedziałem tam niemal godzinę i roześmiany podniosłem się, by odejść. Bo to był czas śmiechu, czas wielkiej radości.

Dziesięć minut później zobaczyłem chłopca. Leżał nagi-sieńki w ramionach pielęgniarki w masce. Nie mogłem go dotknąć, bo znajdowali się za szybą. Był wynędzniały i szkaradny jak gnom unurzany w żółtku. Z wąsami wyglądałby zupełnie jak jego dziadek. Wrzeszczał, gdy siostra go prezentowała. Naliczyłem dziesięć paluszków u rąk, dziesięć u nóg i jeden penis. Bez wątpienia żaden ojciec nie mógł sobie życzyć nic więcej. Skinąłem głową i siostra okryła tego koszmarnego chłopczyka kocykami i uniosła go gdzieś w czeluście skomplikowanej maszyny szpitalnej.

Wtedy wywieźli Joyce z sali porodowej. Była wycieńczona, uśmiechała się z trudem.

- Widziałeś go? - szepnęła.

Uścisnąłem jej rękę.

- Nie mów teraz, kochanie. Śpij.

- Było wspaniale - westchnęła. - Nie bolało, nic a nic.

Zamknęła oczy i powieźli ją korytarzem.

\*

\*\*

Tata stał przy oknie w poczekalni. Położyłem mu dłoń na ramieniu, a on się odwrócił. Nie musiałem nic mówić. Zaczął płakać. Oparł głowę na moim ramieniu i mocno się rozszlochał. Czułem kości jego ramion, stare wiotczejące mięśnie i czułem zapach swego ojca, jego pot, źródło swego życia. Czułem jego gorące łzy i samotność człowieka, i słodycz wszystkich ludzi, i przejmujące piękno życia.

Ująłem go za rękę i ruszyliśmy korytarzem do biurka pielęgniarki przełożonej. Zakrył oczy czerwoną chustką, w któ-

rą kapały mu łzy, i gdy tak stał, płacząc, powiedziałem pielęgniarce, że chciałby zobaczyć swego wnuka. Nie patrzył na nią, ale jego bolesna radość była ponad jej siły.

- To wbrew przepisom - powiedziała. - Ale...

Przeszliśmy za nią przez drzwi wahadłowe, trzymałem tatę za rękę. Siostra zniknęła, a po chwili pojawiła się po drugiej stronie szyby z maską na twarzy i niemowlęciem w objęciach. Tata nie widział dziecka, bo dłonie z czerwoną chustką zakrywały mu oczy, ale wiedział, że jest ono bardzo blisko, i poraziła go rewerencja, jakby bał się spojrzeć w twarz Boga. Nawet gdyby podniósł oczy, nie zobaczyłby dziecka, bo oślepiły go łzy. Po kilku chwilach pielęgniarka zabrała niemowlę, a ja poprowadziłem tatę korytarzem. Płakał przez całą drogę do samochodu. Męka oczekiwania odebrała mu wszystkie siły. Trwał w otępieniu, gdy jechałem do domu, z głową opartą o siedzenie, z bezwładnymi rękami na podołku.

- Chcę do domu - powiedział.

- Będziemy tam za kilka minut.

- Do San Juan. Do mamy.

Spojrzałem na zegarek.

- Dzienny San Joaguin odjeżdża za godzinę. To pospieszny.

- Pozbieram narzędzia. Zawieszysz mnie na dworzec.

Jechaliśmy w milczeniu. Stopniowo wracały mu siły. Zaparkowałem samochód na ulicy przed swoim domem. Wyszliśmy, a on się zatrzymał i zapatrzył na wysoki spiczasty dach, łukowate wejście.

- Dobry dom - oświadczył.



- Podłoga się nieco zapada.

- E tam. To bez znaczenia.

- Mamy trochę termitów.

- Wszyscy mają termity.

- Ale nikt nie ma takiego kominka jak ja.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zapalił cygaro.

- To dobry kominek, dzieciaku. Mnóstwo miejsca dla Świętego Mikołaja, jak wlezie przez komin.

- Tatku, pamiętasz ten kawałek ziemi obok Joego Muto? Sądziś, że powinienem go kupić?

- Zostań tu i żyj ze swoją rodziną - powiedział.

Weszliśmy do domu i usłyszałem, jak podśpiewuje, pakując swoje rzeczy.